№ 7. Warszawa, dnia 12 Lutego (31 Stycznia) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

KRZYWY LIBERALIZM.

Niemcy — rzekliśmy niedawno — umieją dziwnie kazić w praktycznem zastosowaniu nawet te wielkie idee, które zrodziły się albo dojrzały w łonie ich własnego ducha. Słowa te nowym dowodem potwierdził wypadek obrad sejmowych nad wnioskiem posła Windhorsta, żądającego, ażeby księżom dozwolono bez żadnych ograniczeń odprawiać msze i udzielać sakramenta. Jak wiadomo, „ustawy majowe" poddały duchowieństwo pod nadzór władz państwowych we wszystkich jego czynnościach. Wynikiem owego prawa był szereg procesów, gwałtów, uwięzień, starć parlamentarnych, słowem ten obraz politycznego życia, który niemcy przezwali mianem „walki kulturnej". Nie będziemy tu szczegółowo zajmować się wykreślaniem właściwego obrębu praw religijnych w państwie, mających, według nas, swoje słuszne oparcie w podstawie wolnych stowarzyszeń; zastanowimy się jedynie nad świeżym wypadkiem ich pogwałcenia, nad odrzuceniem wniosku posła Windhorsta.

Zgodzimy się nawet na zasadę, że państwo winno rozciągać kontrolę nad organami publicznego życia, jednocześnie przyznać trzeba, że ono bezwzględnie nie może zawładnąć wszystkiemi polami działalności i musi niektóre pozostawić woli jednostek, jeśli nie chce zatamować zupełnie materyalnego i duchowego rozwoju. Konieczność ta występuje najwidoczniej śród narodów urządzonych konstytucyjnie. Pomimo zaostrzonej czujności systematu ks. Bismarka i najrozmaitszych „praw wyjątkowych", niemiec ma dość szerokie koło swobody, w którem niczem nieścieśniony obracać się może. Wolno mu z małemi ograniczeniami mówić, pisać, uczyć, modlić się, i t. d. — jak mu się podoba. Państwo bowiem w tych niepodległych ruchach jednostek nie widzi dla siebie żadnego niebezpieczeństwa, chociażby one nawet w szczegółowych wypadkach ścierały się ostro z jego dążeniami. Otóż zachodzi pytanie: czy niezależne od władz cywilnych odprawianie mszy i udzielanie sakramentów, czy te obrzędy mają prawo do wyzwolenia się z pod kontroli państwowej, lub czy mogą w niej wzbudzić jakąś obawę? Sądzimy, że nie. Msza, chrzest, bierzmowanie, komunia — są to akty, posiadające skuteczność religijną, ale pozbawione wszelkiego wpływu społeczno-politycznego. Zresztą samo państwo nie uważa ich za szkodliwe, owszem za dobroczynne. Ks. Bismark nie twierdzi zapewnie, że katolicy nie powinni się chrzcić i mszy słuchać. Jeżeli więc jakiś obrzęd nie tylko nie może stać się środkiem nieuznanej przez państwo działalności, ale owszem godzi się z jego nastrojem, dlaczego nie ma być prawem ogólnej swobody, lecz wydzielonego przywileju? Jeżeli ksiądz, chcący uczyć w szkole lub kościele, zarządzać parafią, słowem spełniać pewne obowiązki publiczne, musi poddać się odpowiednim przepisom i uzyskać specyalne pozwolenie władz cywilnych, to ze stanowiska państwa jest zrozumiałem. gdyż na tem polu wyrazić się mogą osobiste właściwości czynnych jednostek. Inaczej uczyć będzie w kościele i szkole Paweł a inaczej Gaweł, ale zarówno Paweł jak Gaweł odprawiać będą mszę i bierzmować jednakowo. Skoro więc rząd niemiecki nie widzi w mszach i bierzmowaniach ani szkód, ani różnic, dla czego wyłącza od nich księży urzędowo nieupoważnionych? Albo chrzest z ich ręki jest bodaj odrobiną różny od chrztu z ręki duchowieństwa oficyalnego? Na pytanie to nie mamy innej odpowiedzi, prócz tej, że ks. Bismarkowi idzie — mówiąc słowami rossyjskiego satyryka — „o zginanie w barani róg" nieposłusznych jego woli. Zamiast konsekwentnie przeprowadzonej zasady polityka, widzimy upór despoty, zamiast racyi — tupnięcie nogą, zamiast reguły — unieważniające ją wyjątki.

Nie o korrektę jednak logiki rządu niemieckiego nam chodzi, ale o ważne sprostowanie w liberalizmie żywiołów wolnomyślnych. Wniosek posła Windhorsta został odrzucony znaczną większością, śród której znalazły się — niestety — i głosy postępowe. Kilku tylko posłów tej grupy stanęło po stronie katolików. Gdyby nam nawet gazety nie przyniosły wywodów Virchowa i jego towarzyszów, odgadlibyśmy bardzo łatwo racye tego wstecznego ruchu. Był to poprostu krok odwetowy. Jeżeli — mówili oni — klerykalni przeciwstawiają się dążeniom naszym, dlaczego my mamy popierać ich żądania? Zapewnie, taktyka parlamentarna, wojująca bronią zasady: „oko za oko, ząb za ząb" posiada swoje usprawiedliwienie, takie same, jak każda wojna. Ale usuńmy się z pola walki, zejdźmy z trybuny sejmowej i zastanówmy się: czy każdy środek skuteczny jest przez to samo godziwym? Czy ta okoliczność, że mnie przeciwnik okrada, pozwala mi wyzwajemniać mu się i podnosić kradzież do godności prawa? Zaiste trudna to rzecz nie robić bliźniemu tego, co nam niemiłe — ale dla sprawiedliwych konieczna. Najliberalniejszy żywioł jeśli będzie bezwzględnym, stanie się tyrańskim. Robespierre nie różnił się wcale od Filipa II. Czy każemy wieszać jednych za to, że się modlą, czy drugich za to, że się nie modlą — wszystko jedno. W obu wypadkach gwałt pozostanie gwałtem, tylko postać zmieni. Cokolwiekbyśmy sądzili o obrzędach religijnych, skoro one dla milionów ludzi stanowią zaspokojenie niezbędnych potrzeb wewnętrznych, mają w nich racyę swojego bytu. Nic to nie zna-

czy, że one jej nie mają w naszych. Chór kontrabasów przy ołtarzu włoskiej katedry może być niższym rodzajem muzyki, niż symfonia odegrana przez orkiestrę; czyż jednak to upoważnia orkiestrę do nakazania milczenia kontrabasom? Chociażbyśmy nawet woleli widzieć w ręku każdego księgę rodzaju Darwina, niż księgę rodzaju Mojżesza, nie powinniśmy ostatniej siłą wytrącać z rąk wiernych. Gdy dla siebie pragniemy swobody, nie odmawiajmy jej innym. Wszelki liberalizm traci grunt pod nogami z chwilą, w której go wyrywa przeciwnikom, w której przeniewierza się własnemu godłu. Dziś rząd pruski zabiera i niszczy jeden z utworów Heinego; postępek ten wywołuje w kołach wolnomyślnych głębokie oburzenie. Gdyby miejsce ks. Bismarka zajął przeciwnik klerykalizmu i rozkazał palić wszystkie książki ultramontańskie, czy to byłoby słuszniejszem nawet ze stanowiska liberalnego? Wszystkie przekonania posiadają jednaką wartość w stosunku do swych wyznawców. Wiara w protoplazmę nie jest dla Haeckla ani jeden włos większą od wiary szląskiego chłopa w rajską glinę. Skoro zaś od woli jednostek nie zależy ich przekonanie, gdy to, co one myślą i czują, jest koniecznym wynikiem ich natury, tak koniecznym, jak bezwrażliwość kamienia lub instynkt zwierzęcia, to jakże inaczej ustrzeżemy się od popełnienia krzywdy, jeśli nie przez równomierny rozdział praw swobody między wszystkich, bez względu na ich różnice umysłowe?

Wspomnieliśmy, że nawet pewność odmiennego zachowania się przeciwników nie może wykreślać drogi żywiołom liberalnym. Nie ulega żadnej wątpliwości, że gdyby postępowcy niemieccy żądali swobody dla swoich nabożeństw i swoich sakramentów, stronnictwo *środka* odmówiłoby im swojego poparcia. Ale też to jest jego zasadą, niemal jego obowiązkiem dusić niepodległe, odmienne objawy życia umysłowego. Ultramontanie — że tak powiemy — od tego są, ażeby zamykać usta, postępowcy — ażeby je wszystkim otwierać. Przyjąwszy metodę pierwszych, popełniamy ich nadużycia, tylko pod zmienionym tytułem. Żadne zaś inne stronnictwo nie powinno się bardziej wystrzegać zacieśnienia swego widnokręgu, spoglądania na świat przez szparę własnych upodobań, monopolizowania wolności w własnym jedynie obrębie, jak postępowe. Na nieszczęście, jak każde, ma ono swoich partaczów, swoich fałszywych apostołów, swoich fanatyków. Między rzeszą Chrystusa a rzeszą starych i nowych inkwizytorów otworzyła się przepaść; podobna przepaść otwiera się również między Millem i Humboldtem a niemieckimi czcicielami ustaw majowych. Umieją oni odbierać katolikom swobodę w imię... swobody. Niebezpieczny dowód z tak pojętej swobody poczerpnąć może do przyszłych rozpraw Windhorst. Zaiste lepiej usłużyli sprawie postępu ci, którzy nie uczęszczając na msze i nie przystępując do sakramentów, głosowali za mszami i sakramentami.

A. S.

Z NIEMIEC.

Przyjechał, przemówił. — Kronika bytności w sejmie — „Gołąbek pokoju,“ jego różczka oliwna z przed czterech lat. — List pisany bagnetem. — Na rachunek materyalizmu. — Potęga sprzeczności. — Ogładzanie i ogłupianie Szląska. — Kobieta na polu ekonomii.

Nietylko przyjechał, nietylko pokazał się w sejmie, nietylko pozostał w sali podczas mowy posła Richtera, ale nawet ks. Bismark... przemówił. Nie jest to zaszczyt drobny dla niemców, choćby dla tego, że spotyka ich bardzo rzadko. Wobec niego giną i gasną wszystkie inne wypadki bieżącego życia. Od świstków humorystycznych aż do poważnych miesięczników, całe dziennikarstwo zajmuje się świeżem wystąpieniem wielkiego kanclerza na scenie sejmowej. Gazety starannie zapisują, o której godzinie wszedł do sali, jak wyglądał, gdzie usiadł, z kim naprzód rozmawiał, jakim ołówkiem później robił notatki z mowy Richtera, jak przy jednem zdaniu swego przeciwnika krzyknął: *erfunden!* wreszcie ile wody z koniakiem wypił przy swej oracyi. Nic nie brak, nawet uniżoności narodowo-liberałów, którzy spostrzegłszy wschodzącego pana, *unterthänigst* powstali.

Jest tylko w Niemczech jeden człowiek, który może na siebie zwrócić uwagę od ks. Bismarka—mianowicie hr. Moltke. Miły ten „gołąbek pokoju“ — jak go kiedyś dowcipnie nazwał bawarski *Beobachter*, ukazywał się rzeczywiście w parlamencie z gałązką oliwną. Jeszcze przed czterema laty na jednem z posiedzeń sejmu niemieckiego puścił taką humanitarną racę: „Szczęśliwe to czasy, w których państwa nie będą musiały marnować większej części dochodów na ubezpieczanie swego bytu; kiedy nietylko rządy, ale narody i stronnictwa przekonają się, że nawet najpomyślniejsza kampania więcej kosztuje, niż przynosi, gdyż okupywanie życiem ludzkiem dóbr materyalnych nie jest żadnym zyskiem.“ Tak powiedział hr. Moltke dnia 24 kwietnia 1877 r. Ach, po co ludzie mają pamięć, tę niedyskretną plotkarkę, która porównywa wczoraj z jutrem i nie pozwala wielkim ludziom pod dwiema datami wypowiadać dwu całkiem z sobą sprzecznych „słów wiekopomnych!“ Gdyby nie ona, hr. Moltke mógłby znakomitemu prawnikowi Bluntschlemu, który go przed kilku tygodniami prosił o zdanie co do *Manuel des lois de la guerre* i o przyczynienie się do zmniejszenia stałych wojsk w Niemczech — dać bez kompromitacyi tę bagnetem pisaną i prochem zasypaną odpowiedź: „Wieczny pokój jest marzeniem, *i wcale niepięknem*, wojna zaś czynnikiem w *boskim* porządku świata. W niej ujawniają się *najszlachetniejsze cnoty* człowieka, odwaga i zaparcie się, poszanowanie obowiązku i gotowości do poświęceń łącznie z narażaniem życia. *Bez wojny świat popadłby w materyalizm.*“ Nie

POGANKA[1]

przez

F. HERITESA.

„Pewien król miał córkę niewidzianej krasy. Nazywano ją Krupeniczka. Jednego razu wtargnęli do kraju nędzni tatarzy, zabrali Krupeniczkę i wywieźli ją daleko na obcą ziemię — do niewoli...,“ tak mówi podanie ruskie o pochodzeniu tatarki [2]).

Lecz mała poganka, o której chcę mówić, nie była córką żadnego króla i nie porwali jej do niewoli nędzni tatarzy; czcigodny ojciec missyonarz pod zasłoną krzyża uszczknął ten kwiatek w głębi dzikich puszcz afrykańskich i przesadził go do naszych ogrodów europejskich.

Księżna Z. wzięła ją w opiekę. Bawiła właśnie w Egipcie w chwili, gdy stary głosiciel słowa bożego powracał ze swej missyi, po wielu latach samotnego żywota. Miał z sobą drobne, czarne dziewczątko. Należało ono do mało znanego, dzikiego plemienia, którego pogańskie tradycye napróżno usiłowały zniweczyć najlepsze siły mężów wybranych, poświęconych nawracaniu na wiarę i cywilizacyę.

Dzicy zamknęli się w wioskach i lasach a świętych mężów przywitali jak napastników. Krzyż musiał ustąpić. Ale jeden pączek z owego dzikiego drzewa, dziewczynkę zawiodły losy do pobożnych rąk ojców wielebnych a pater Pius rozpoczął jej wychowanie. Z wielkim trudem nauczył ją na pamięć Ojcze Nasz i kilku wyrazów angielskich, później zaczął uszlachetniać jej obyczaje a wytłomaczywszy z gorącą wymową nicość wiary jej ojców, nawrócił ją na chrześciaństwo.

Była ona cicha, potulna, pojętna i robiła szybkie postępy. Wkrótce uznano ją za zdolną do przyjęcia chrztu. Jednakże formalne wprowadzenie jej na łono kościoła odłożył ojciec Pius na czas późniejszy; wyjeżdżał do Anglii i postanowił, zatrzymawszy się w Rzymie, w kościele ś-go Piotra, ochrzcić uroczyście małą murzynkę.

Księżna Z. była jej matką chrzestną i rozpłakała się ze wzruszenia, gdy czcigodny ojciec Pius wyrzekł poważnym głosem: — Ze wszystkich dzieci twego plemienia, ty jedna doczekałaś prawdziwego szczęścia, albowiem stałaś się uczestniczką słowa bożego i ty tylko będziesz zbawioną. Przeto chrzczę cię imieniem *Felicitas*.

Nieśmiałe spojrzenie nowoochrzczonej, przebiegłszy po twarzach licznie zgromadzonych widzów, zatrzymało się spokojnie na sklepieniu kopuły, skąd ku dołowi patrzał Bóg z obrazu mozaikowego. W głowie biednego dziecięcia powstało niejasne wyobrażenie, że tam w górze jest to szczęście, o którem tak pięknie mówił ojciec wielebny. Uśmiechnęła się, ale w tej samej chwili zadrżała, a usta konwulsyjnie się zacisnęły. Zapewne zdawało się jej, że ten obraz, to szczęście, rozłamuje się na tysiące ciężkich kamieni i pada na jej serce.

Od tego dnia można było często widzieć małą Felicytę, klęczącą ze złożonemi rękoma w tym lub owym kościele rzymskim. Na szyi nosiła też krzyżyk złoty, chociaż nazywano ją — poganką. Została nieodstępną towarzyszką księżnej Z., która na Monte Pincio lub w parku willi Borghese nie ukazywała się inaczej, jak tylko z siedzącą naprzeciwko niej w powozie małą murzynką w białej sukience. Ubierano ją wyłącznie biało, podobno dla większego wrażenia — jak utrzymywała opinia publiczna. Tak, języki bluźniercze, których nie brak i w wiecznem mieście, nie przestawały twierdzić, że wszystkie te miłosierne popędy szlachetnego serca księżnej, całe to jej gorące współczucie dla losu opuszczonego dziecięcia dalekiej krainy było w ogóle tylko zimnem wyrachowaniem — na powiększenie własnego wpływu. I rzeczywiście, jak barwa murzynki występowała żywiej z ram białej odzieży, tak też powabna płeć księżnej uwydatniała się w całej swej

[1]) *Z mego zielnika.* Przekład z czeskiego dokonany za pozwoleniem autora.

[2]) *Primus Sobotka:* „Świat roślinny w podaniach narodowych słowiańskich“.

przecierajcie oczu, bo cytata dosłowna. Tak, hr. Moltke, który przed czterema jeszcze laty wzdychał do tych czasów, kiedy wojny ustaną i twierdził, że najpomyślniejsza kampania więcej przynosi strat niż zysków, ten sam hr. Moltke dziś w mordowaniu się narodów widzi wolę boską, szkołę najszlachetniejszych cnót i... środek ochronny przeciwko... materyalizmowi. Ale pomińmy sprzeczność, gdyż z niej najmniejszy cień pada na wielkiego strategika, i ulitujmy się raczej nad tym znieważonym Bogiem, na którego rachunek tak dobrze żona Menelausa wpisywała swoje miłostki, jak i hr. Moltke swoją cześć dla wojny. Powaga nieba i bezpieczeństwo od materyalizmu usprawiedliwiają już dziś wszystko, bo nawet wojnę. Zgubić się można w najrozmaitszych świętościach, zaopatrzonych w dwa te przymioty. Dewocya, żołądki syte i głodne, kij i litość, miłosierdzie i wojna, wszystko ma pochodzić od Boga i strzedz nas przeciwko materyalizmowi. Dla czegożby sam materyalizm nie miał powołać się na tenże początek i na podobną zasługę? Jeśli działa Kruppa uczą idealizmu, to może tenże sam wpływ wywierają i książki Büchnera? Jeżeli znowu hr. Moltke nazywa się idealistą, nic a nic chyba nie przegradza drogi do tej godności i p. Bleichröderowi lub Rotschildowi. Słowem, po liście naczelnika sztabu niemieckiego wieniec cywilizowania i zbawiania świata każdy może dostać — darmo.

Spostrzegli jednak niemcy, że ich Achilles zapędził się troszkę za daleko. Dla uśmierzenia go wskrzesili aż królewieckiego mędrca i kazali mu powtarzać marzenia o „wiecznym pokoju.“ Gdy to nie pomogło, przypomnieli Moltkemu dzisiejszemu, co mówił Moltke przed czterema laty. Środek ten był może najskuteczniejszy. „Nimbus nieomylności — bowiem powiada jedna z postępowych gazet — da się rozproszyć tylko sprzecznością. Dwa razy dwa, pomimo geniuszu, nie może być dziś pięć, jeżeli ten sam geniusz wczoraj zapewnił, że jest tylko cztery. Gdzie dwóch się kłóci, trzeci się bawi; jeżeli więc Moltke pobija Moltkego, ktoś trzeci cieszyć się musi. I kto? Zdrowy rozum. Za którym on zaś z dwu Moltków się oświadcza, zgadnąć łatwo.“

Nasyciwszy się dobrodziejstwami wojny, skosztujemy teraz dobrodziejstw pokoju. Naturalnie, kto chce „najszlachetniejsze cnoty“ rozwijać w obozie, ten nie potrzebuje ich rozwijać w szkole. Świeże obrady nad materyalną i umysłową nędzą szlązką ujawniły bagnetową gospodarkę pruską dostatecznie, a i sam rząd poświadczył ją w wymownych cyfrach. Cyfry te wykazują albo przepełnienie szkół, albo brak nauczycieli. W najbiedniejszych okręgach jeden nauczyciel musi kształcić od 120—200 dzieci, w samym zaś obwodzie opolskim brak 800 nauczycieli! A jak żebraczą płacę pobierają ci, którzy przecież mieli głównie przyczynić się do zwycięztwa pod Sedanem! Szczęśliwi tylko pobierali na naszą monetę 200 rs. — w kraju ogłodzonym. Rezultat tej okropnej statystyki przekonywa, że 1 września 1874 r. z 1741 nauczycieli i nauczycielek wiejskich 1362, to jest 78% nie posiadało środków potrzebnych na najskromniejsze wyżywienie rodziny. Do tego prowadzi szukanie w wojnie „boskiego porządku“ i kształcenie „najszlachetniejszych cnót.“ Żal za oderwanym i wynaradawianym Szlązkiem potęguje się w duszy naszej, gdy widzimy tę gospodarkę ogładzania i ogłupiania. Zdawałoby się, że niemcy braciom naszym przynajmniej dadzą jeść i oświecą ich. Czekajmy, a może niedługo znajdzie się drugi apostoł, który uzna głód szlązki za narzędzie Boga i szkołę cnót najszlachetniejszych.

Nie odchodząc od spraw społecznych, odświeżmy zaczadzoną pruskim swędem głowę bodaj drobnym kwiatkiem literatury. Słynny professor ekonomii na uniwersytecie wiedeńskim, Lorenz Stein wydał w Sztuttgarcie broszurę p. t. *Kobieta na polu kwestyi społecznej*. Przed dwoma laty podniósł on już raz ten przedmiot w broszurze *Kobieta na polu gospodarstwa społecznego*. Pierwszym obowiązkiem dotykających tej struny jest konieczność zagrania czegoś nowego. Czy Stein warunku tego dopełnił? Posłuchajmy. Zdarzyło ci się zapewnie, czytelniczko..., przyszywać do bielizny guziki lub cerować jej rozdarcia. Jeśli ci to zajęcie wydało się marnem, nudnem, to pociesz się myślą, żeś działała „na polu gospodarstwa społecznego.“ Te okruszyny pracy w połączeniu przedstawiają poważny skutek. Bo obliczmy ze Steinem ich sumę dla Austryi. Przypuśćmy, że 6 milionów rodzin tego państwa nosi tylko 20 milionów koszul, każda po 4 łokcie; wychodzi więc 80 milionów łokci tkaniny, po $33^1/_3$ centów łokieć, czyli 27 milionów guldenów. Jeżeli skutkiem reparacyi mogę używać koszuli tylko o 10 procent dłużej, to igły i nici w rękach gospodyni domu oszczędzają na samych koszulach rocznie w Austryi 2,700,000 guldenów. Czy was, czytelniczki, rezultat ten nie napełnia dumą?

Na przykładzie służącej, która nauczywszy się od swej pani różnych robót domowych, a przedewszystkiem kuchennych, przenosi te uzdolnienia potem do własnego ogniska i tym sposobem podnosi ekonomicznie swoją sferę, wykazuje Stein inny kierunek wpływu kobiety na polu gospodarstwa społecznego. Ogólny wniosek z tych wywodów prosty: kobieta jest ekonomicznie produkcyjną nawet tam, gdzie jej praca się nie ujawnia. Obok tego wniosku stawiamy nasz własny: broszury Steina warte są przyswojenia naszej literaturze; wyprowadzają bowiem z manowców sprawy niewieściej na niedostrzeżoną a jednak prostą ścieżkę.

Liber.

---

okazałości, gdy oko patrzącego zwróciło się ku niej od hebanowych policzków Felicyty...

Była to jednak widoczna obmowa. Księżna dawała dziewczęciu coraz to nowe dowody swej przyjaźni i względów, a poganka za to lgnęła do niej całem sercem. Była ona dzieckiem i wszyscy uważali ją za dziecko. Księżna widocznie się z nią bawiła; nawlekała jej na sznurek korale i perły fałszywe, których blaskiem dziewczę niezmiernie się cieszyło, pozwalała jej głaskać się po twarzy i z roskoszną kokieteryą spoglądała w zwierciadło, gdy czarne ręce poganki rozplatały warkocze jej włosów złotopłowych.

Kupiono jej także lalkę z głową woskową, wielkiemi oczyma i włosami naturalnymi, lecz poganka ujrzawszy ją, przeżegnała się ze czcią a potem położyła na stole obok krzyża. Tak była dziecinną! Nikt nie uważał, jak jej kościste ramiona powoli się zaokrągliły, jak przygięta kibić wyprostowała się i wypełniła, jak wyraz oka stał się miękkim, marzącym, uroczym.

Aż wreszcie przyjechał książę Z.

— Zkąd wzięłaś tę damę? — zapytał już po jednogodzinnym pobycie ze swą małżonką, której przez wiele miesięcy nie oglądał.

„Tę damę;“ nie rzekł: „to dziecko.“ Po chwili znowu spytał z większym naciskiem:

— Gdzieś tedy złowiła tę interesującą czarną piękność?

Wielki świat rzymski dziwił się, że książę Z., znany włóczęga i awanturnik, zamyśla koniec bieżącego lata i całą zimę przemieszkać w Rzymie razem z żoną. Wkrótce jednak znalazło się parę ubocznych przyczyn tego niespodziewanego zamiaru. Przytaczano nawet po kolei nazwiska kilku pięknych dam wątpliwej opinii.

Tymczasem sam książę bawił się całkiem niewinnie. Wielcy panowie mają często dziwne napady. Każdego dnia przynosił pogance coś nowego. Jednakże koraliki, perełki i wszelkie błyskotki wkrótce straciły w jej oczach dawniejszą swą wartość; nie była już dziką. Proste myśli danowo jej odebrano; przestała też być dzieckiem. Książę pan postarał się jej to wyjaśnić słodkiemi słowy.

I dziwna rzecz, jak ona rada słuchała tych wyrazów. Serce młode, niedoświadczone, zyskamy jednym przyjaznym uśmiechem— serce murzynki tak samo, jak każdej innej. A książę uśmiecha się tak łaskawie, mówi tak pięknie, z takiem uczuciem! Nie był nigdy za morzem, lecz czytał wiele książek, mnóstwo szczegółów utkwiło mu w pamięci; opowiada zawsze o krajach południowych, o palmach, papugach, o małpach skaczących po gałęziach — umie wybrać przedmiot opowiadania stosowny dla swej powolnej słuchaczki.

Teraz poganka szuka często samotności, której się poprzednio tak obawiała. Spytała potajemnie służącego, gdzie, w której stronie leży jej kraj rodzinny. On wskazał w kierunku przeciwnym a potem przywiódł kilku swych kolegów, którzy się śmieli zdradliwie, zobaczywszy pogankę siedzącą w kąciku na balkonie z oczyma załzawionemi, z bolesnym wyrazem twarzy, zwróconą ku północy. Ale ona nie poznała się na tem kłamstwie. Tam w dali, w tych krainach, na które właśnie począł zapadać całun zimowy, widziała kokos, daktyle i bujną strawę, a po nad tem wszystkiem słońce ziejące żarem...... ojczyznę.

Dlaczegóż teraz właśnie przypominała sobie kraj swój? Przecież ani w pierwszych chwilach, gdy ją tak nagle wyrwano ze znanych jej stron i przecięto związek z tem wszystkiem, co dotąd miało jakiekolwiek dla niej znaczenie, przecież nawet wtedy tak nie tęskniła! A żyła długi czas wśród towarzystwa poważnych starców, których mowy nie rozumiała, a którzy pocieszali ją modlitwą, nie przemawiającą jej do serca. Później musiała się udać z ojcem Piusem w męczącą podróż—oh! była wtenczas smutną, rozpaczliwie smutną, a jednak nie w tym stopniu jak teraz......

Nad wiecznem miastem unosiła się mgła chłodna, przejmująca, a wśród gęstych jej tumanów, każdy z utęsknieniem szukał słońca.

I przyszło wreszcie ku powszechnemu rozradowaniu. Tylko poganka nie cieszyła

BOLESŁAW CHROBRY.

POD PIÓREM DYTMARA.

V.

W powyższym przeglądzie starałem się przedewszystkiem o jak najwierniejsze odtworzenie zamkniętego w kronice obrazu dziejów zachodnio-słowiańskich: ani jeden szczegół historyczny (z wyjątkiem ciekawej dla lingwistów dorywczej wzmianki o pracy apostolskiej biskupa Bozo, oraz przedrukowanego całkowicie w historyi Naruszewicza, opisowego ustępu o Retrze i lutykach) nie został, jak mniemam, opuszczony, chociaż głównie chodziło mi o treściwe zebranie tego wszystkiego, co dotyczy stosunków polsko-niemieckich, głównie zaś charakterystyki samego Bolesława. Rozrzucone tu i owdzie światełka, które w postaci możliwie *pierwotnej* usiłowałem przenieść do mego artykułu, odsłaniają przed nami mało popularne, a najczęściej rozmyślnie przez dziejopisów polskich ubarwiane i przyciemniane, rysy wielu zdarzeń i charakterów. Pozostawiając czytelnikowi możność wysnuwania wszelkich wniosków, do jakich doprowadzają zawarte w kronice premissy, sprobujemy rozważać na podstawie miniaturowego kompendyum kwestyę, którą nam obrany temat nasuwa.

Łatwo się przekonać, że Dytmar, od początku do końca swych roczników, mówi o Bolesławie ze stałym wstrętem i nienawiścią, jako o „lisie,“ „wężu jadowitym,“ „wszeteczniku,“ „słowianinie okrutnym,“ „prześladowcy i wrogu“ [1])... Mimowoli zadajemy sobie pytanie: czy książę polski był nieprzyjacielem niemców wogóle, czy też może jedynie—ościennych sasów, niektórych mianowicie margrabiów, komesów, biskupów wschodnich, a pośrednio Henryka II?... Kronika Dytmara skłania nas do zgody na drugą raczej połowę rzuconej kwestyi. Poczucie plemienne, a więc i nienawiść do niemców obcą była Bolesławowi, który, podobnie jak ojciec, garnął się do sąsiadów zachodnich, łączył z krwią germańską, i częstokroć jużto sam, jużto wespół z naturalnymi wrogami—występował orężnie przeciw pomorskim, nadelbiańskim i czeskim słowianom, aby potem ze zmianą powodzenia doznać od nich odwetu... Czy tego ówczesna polityka polska i rola piastów—cywilizatorów koniecznie wymagała, czy taki system (jak mniema Szajnocha) wpływał zbawiennie na wzrost rozwijającego się między Odrą a Wisłą państewka, wątpimy... Zadanie, jakie mieli do spełnienia Mieszko I i Bolesław, było nader trudne: należało ostrożnie, dwulicowością a lisim podstępem wywalczać pożądane sobie i państwu stanowisko:—formy chrześciańskie zachowywać, szczepić przez wzgląd na silniejszych sąsiadów i przyszłość dziejową, ale serce i tarczę opieki mieć w darze dla słowian... Poglądy te jednak obce być musiały chrobremu synowi X-go stulecia, który zarówno pod postacią „lwa“ jak „chytrego lisa“, zdradza na każdym kroku jeśli nie krew, to przynajmniej szkołę... normandzką.

Historya stosunków jego z niemcami da się podzielić (jak to już zauważył Zeissberg [1]) na dwie różne, charakterystycznem piętnem nacechowane doby, odgraniczone od siebie tak prostym wypadkiem, jak śmierć Ottona III. Wiadomo, że ten ukoronowany chrześcianin—kosmopolita, widząc w swym lenniku wkupionego już do cywilizacyi europejskiej mocarza i godnego sie-bie sprzymierzeńca, podał mu dłoń przyjazną i wyniósł na stopień niezależnego księcia. Gdyby był pożył dłużej, państwo polskie pod wodzą tak energicznego, jak Bolesław, sterownika, urosłoby w kierunku północno-zachodnim, na drodze niemal pokojowej, do tych granic, jakie mu założyciel w swych zapędach wojowniczych zakreślał. Dziwnie zgodny grunt opisów pielgrzymki Ottona do grobu ś. Wojciecha u Dytmara i Galla, z których jeden nienawidzi, drugi wielbi Bolesława, oraz odnoszące się do tej chwili pobożne jęki biskupa Merseburskiego („Niech Bóg przebaczy cesarzowi etc.“) dowodzą wymownie olbrzymiej dla młodego państewka wartości zjazdu gnieznieńskiego. Fakt ten, poprzedzony przez pewne harmonizujące z nim czyny (o których kronika nasza nader ogólnikowo wspomina) założył podwalinę dla przyszłej budowy i wydał następstwa, odbijające się głośnem echem o ziemię saską w przeddzień wstąpienia na tron Henryka II. Najechanie dzielnic łużyckich, które ze śmiercią margrabi Ekkiharda, osobistego przeciwnika monarchy, czekały na nowego wielkorządcę, nie było jeszcze ze strony Bolesława krokiem stanowczo nieprzyjacielskim, ale raczej konsekwentnym wyrazem uroczystego przymierza. Dopiero konferencya merseburska (1002) i ów towarzyszący jej, wcale niedwuznaczny zamach na życie — dobitne wyrazy zmienionej w Niemczech polityki—sprowadziły księcia polskiego na wytkniętą już przez ojca, chociaż mniej od sojuszu cesarskiego pożądaną, drogę knowań. Odtąd, jako najpotężniejszy, chwilami odrywający się od związku, członek rzeszy, pomaga on, jawnie lub skrycie, Henrykowi ze Szwajnfurtu i innym burzycielom jedności państwowej Niemiec. W pierwszej chwili potęga tego rokoszanina (pożyczamy farb od Dytmara) urasta szybko do niezwykłych rozmiarów: w powrocie z Merseburga przeciąga huraganem zniszczenia przez nieotrzymaną w lennictwo część Łużyc, następnie (1003 r.)

[1]) Warto zauważyć, że Dytmar począł pisać kronikę na kilka lat przed swą śmiercią (około r. 1014), a więc pod dobę odnawiającego się ciągle zatargu z Bolesławem, gdy wspomnienie o jego stosunkach przyjaznych z Ottonem III dawno się w umyśle spółczesnych zatarło.

[1]) *Die Kriege Kaiser Heinrich's II mit Herzog Bolesław I*—Wien 1868.

---

się; dla niej te słoneczne pocałunki jakby nieistniały. Ona więdła. Policzki jej zapadały, a wielkie oczy dziwnie jakoś wystąpiły na wierzch i smutnie patrzyły na świat. Usta pobladły.

Względy księżnej Z. dawno już opuściły pogankę; nie brała jej nawet z sobą na *Corso*. Miejsce naprzeciw pani zajął piesek. Wnętrze powozu wybite było mieniącą się materyą purpurową, a od tego tła odbijała marmurowa białość czoła pięknej magnatki o wiele wyraźniej, aniżeli wprzódy od połyskującej cery murzynki......

Książę rzadko bardzo towarzyszył swej żonie. W ostatnich czasach stosunki między małżonkami zajątrzyły się bardziej niż kiedykolwiek. Przyszło nawet do scen niemiłych, o których przyczynie służba szeptała między sobą skrycie lecz z uśmiechem impertynenckim i zuchwałą gestykulacyą. W towarzystwach rzymskich mówiono także wiele o rozwodzie księstwa Z.

Jednak pewnego dnia odwiedził książę swą żonę w porze niezwykłej, a znalazłszy w jej pokoju niewątpliwe ślady bytności jednego ze swych najlepszych przyjaciół... nie uczynił jej wyrzutów. Przeciwnie, właśnie to zdarzenie przywiodło do zobopólnego porozumienia.

— Nie jestem moralistą— rzekł z wesołym uśmiechem — nie bądź więc i pani, proszę, względem mnie tak surową, nie przystoi ci to.

I tym razem pogodzili się już na dobre. Zapewne też z radości, wywołanej tą zgodą, postanowili odwiedzić Paryż i natychmiast udali się w podróż.

Z poganką nawet się nie pożegnali. Oddano ją pod dozór jednego z najwierniejszych sług domu książęcego a ten wkrótce, po odjeździe państwa, odwiózł ją także. Lecz dokąd?......

W izbie zaciemnionej, na łożu za kotarą, spoczywa murzynka. Wczoraj złożono obok niej śniade dzieciątko. Nie zapłakało nawet. Odniesiono je do trumienki, do grobu. Twarz jej rozpalona, płeć czarną przebija ogień płonący w żyłach Oko gorączkowo spogląda przed siebie. Naokoło niej zapada zmrok, ciemność ją przeraża. Podniosła się na łożu i uchyliła zasłonę: rozjaśniło się trochę naokół, ale ani jeden ciepły promień słońca nie uśmiechnął się do niej. Przed oknem wznosi się mur pusty, goły, z kilkoma oknami za kratą.

Śnieg sypie na dworze. A tak smutno i tęskno w tem mieście... tak zimno... Ręka murzynki drży a usta posiniały.

Przyszedł ksiądz do jej łoża. Nie znała go, nigdy go nie widziała, był stary a mówił poważnie. Zdało jej się, że to ojciec Pius. I wyciągnęła doń ręce, gdyż sądziła, że przyszedł, aby ją zabrać napowrót i zasadzić znów biedny kwiatek w tej ziemi, na której go zerwał. Pytała niecierpliwie, czy prędko pojadą. Ale ksiądz jej nie rozumiał—odpowiedział modlitwą—potem mówił o miłosierdziu bożem, o wdzięczności dla dobroczyńców, o miłości bliźniego i o pewnej drodze dalekiej... A ona uśmiechała się coraz milej i rozkoszniej, w uszach jej brzmiały te słowa jak muzyka. Nie pojmowała ich treści. W jej rozpalonej głowie nabierały one zupełnie innego znaczenia; potrząsała nią radośnie— tak, tak, podróż..... do domu, gdzie nie jest — tak ciemno i tak smutno jak tutaj, gdzie słońce świeci zawsze i grzeje bezustanku, gdzie kwitną palmy i dojrzewają słodkie ich owoce— tak, tam — tam.

I teraz murzynka spogląda przed siebie tak błogo, jak gdyby jej dusza przeniosła się na skrzydłach modlitwy klęczącego przy niej sługi pańskiego, do tej krainy ukochanej—do ojczyzny.

„Wyswobodziła ją, jak wieść niesie, staruszka“ — tak kończy podanie ruskie.

Małą pogankę, której dzieje tutaj opowiedzieliśmy, wyswobodziła staruszka dobra, cicha, przynosząca każdemu odpoczynek, pokój wieczny...

. . . .

W zwartej pięści zmarłej murzynki znaleziono małego bożka glinianego o wstrętnem obliczu. Rozbito go o ziemię, a do rąk poganki wciśnięto krzyżyk woskowy.

Tłom. S. Tomaszewski.

drogę podstępu i zbrodni opanowywa tron czeski, dumny powodzeniem odmawia Henrykowi II hołdu z ziem podbitych... Dawszy przytułek malkontentom, pustoszy powtórnie okolice Miśnii, najeżdża Bawaryę, wyciąga dłoń ku lombardzkiemu „koledze“ Hardwigowi [1]). Ale na tem też koniec... Uśmierzą się za chwilę zatargi feodalno-dynastyczne, Henryk II, posiłkowany przez Jaromira, wkroczy do Czech, wypędzi polaków (1004), zdobycze łużyckie (Budyszyn) zagarnie, a następnie, po odpoczynku, odbywszy trudny pochód przez ziemię połabian, stanie obozem w odległości dwu mil od Poznania, spustoszy okolicę nadodrzańską i zmusi (1005) do zrzeczenia się zaborów z r. 1002. Oto typowy epizod wojny Bolesława z Henrykiem. Powtarza się on kilkakrotnie — z tą tylko kapitalną różnicą, że Praga, pomimo częstych pokus ze strony północno-wschodniej, nie ogląda już w swych murach księcia polskiego. Teatrem podjazdowych, łupieskich najazdów są odtąd Łużyce, — głównym przedmiotem pożądliwości bolesławowskiej — Miśnia. Chciwa łupu i pomsty dłoń polska pustoszy niekiedy okolice Magdeburga, niemcy — zachodzą pod Głogów... Książę polski lubi łatwe zwycięstwa — unika otwartego boju. Ilekroć kraina saska, z racyi dalszych zamieszek, ogałaca się ze zbrojnego ludu, Bolesław sunie na zachód, w przeciwnym razie—hamuje zapędy swych hufców i prosi... o łaskę. Kraju mężnie broni: najwymowniejszym tego dowodem jest wojna szląska w r. 1017, fakt przyćmiewający swą świetnością łatwe niegdyś a krótkotrwałe w Czechach wawrzyny. Ten partyzancki bój z Henrykiem cichnie chwilami do tego stopnia, że w pierwszej połowie 1013 r. najprzód Mieszko, w Magdeburgu, a potem Bolesław (w Merseburgu) — zostają przez króla niemieckiego pasowani na rycerzy. Jeden tylko właściwy księciu polskiemu rodzaj walki zaczepnej trwa nieustannie, jedna broń nigdy nie spoczywa w pochwie — broń lisiej zdrady i przekupstwa.

. . . .

Oto profil bohatera, wycięty z roczników dytmarowskich. Nie jestto bynajmniej „olbrzym“, jak sądzi, skłonny do patryotycznej hiperboli i amplifikacyi, Karol Szajnocha. Rycerską szczerością nie odznacza się, przed silniejszym nieprzyjacielem ucieka, a hardy po zerwaniu laurów — zapomina o lisiej ostrożności, którą właśnie celuje. Rzucając się na wszystkie strony świata, jest zaborcą bez stale wytkniętego planu: jakiś instynkt wojowniczy radzi mu zająć orężem lub złotem to, czego jeszcze naokół cesarze nie zajęli. Słowianinem z poczucia i faktów nie jest: w czechach bowiem, zarówno jak w lutykach skarbi sobie wrogów [2]).

Ale roczniki dytmarowe, chociaż niezasługują bynajmniej na nazwę „wspak skreślonego“ ku czci Bolesława „panegiryku“, są tylko najważniejszem, nie zaś jedynem do dziejów Chrobrego — źródłem: najważniejszem, bo żadne nie dostarcza równej obfitości faktów; nie jedynem, bo posiadamy cały szereg świadectw, podających rozmyślnie przemilczane w kronice merseburskiej lub też obce zgoła Dytmarowi szczegóły o wyprawach Bolesława na Pomorze, do Czech i Morawii, do Węgier, na Ruś. Biskup merseburski, jeśli pominiemy skąpe wieści, podane w 2-gim rozdziale ks. VIII— nie kreśli nam wcale wizerunku bytu staropolskiego, prawie nic nie wie o wewnętrznych rządach Bolesława, fizycznej jego postaci nie uwiecznia, a moralną odzwierciedla z ujemnej przeważnie strony.

Jaskrawszy pod tym względem kontrast w porównaniu z Dytmarem przedstawia późniejsza o wiek cały kronika Galla. Zestawienie obu tych świadectw ubiegłej przeszłości do ciekawych prowadzi wyników: tam zaprawne żółcią, ale obfite w szczegóły opowiadanie, tu — pełna miłości i niedopowiedzianych okrzyków uwielbienia, wniebowstępna oda. O podbojach Bolesława niewiele mówi adoptowany przez Polskę piastowską, spolaczały cudzoziemiec; blady wszakże obraz, jaki nakreślił, w tak rozległych mieści się ramach, że lubiącemu jasne barwy czytelnikowi śnić się może, pod imieniem Bolesława Chrobrego, Aleksander Macedoński, Karol W. lub ktokolwiek inny z pierwszorzędnych zdobywców świata politycznego. Całe rozdziały natomiast poświęca opiewaniu wspaniałości, męstwa, szlachetności, pobożności, hojności i innych cnót króla, którego śmierć opłakiwał wdzięczny naród łzami iście synowskiemi.

Gallus zwraca się przeważnie ku wewnętrznej stronie rządów Chrobrego, które sławi tonem miejscowego czciciela tradycyi. Stąd całość historyi bohatera narodu, wychodzi z pod jego pióra jasną jakąś o złotym wieku legendą, miłą dla ducha entuzyasty, ale ubogą w fakta.

Dworak piastowski różni się naturalnie od biskupa z Merseburga w oznaczaniu wypadków dziejowych, podaje np. szerszą wzmiankę o zjeździe gnieźnieńskim, głuchą wieść o zagarnieniu aż po Dunaj ziemi węgierskiej, a Bolesława stale królem nazywa; ale ponieważ nic nie mówi o wojnie z Henrykiem II — nad to, że Chrobry sasów zgromił i granice państwa do brzegów Sali posunął, nie spotyka się przeto z antagonistą na podminowanym namiętnościami gruncie. Łatwo więc pojąć, że między Dytmarem a Gallem, co do dziejów bolesławowskich, zachodzi sprzeczność tylko w tonie i barwie, nie zaś w odwrotnem przedstawieniu faktów historycznych.

Skądinąd ci dwaj synowie rożnych czasów i krajów, ludzie odmiennego wreszcie temperamentu, są do siebie podobni: obaj wierzą po średniowiecznemu, miłują kościół i dynastyę, obaj palą kadzidła bożyszczom, około których obraca się ich glob kronikarski: czem dla Dytmara świątynia i dyecezya merseburska, tem dla Galla Bolesław Krzywousty...

Ale obu tych mężów rozłącza stanowczo głęboka przepaść — nie tak plemiennych lub narodowościowych, jak politycznych a dynastycznych sympatyj i antypatyj. Dytmar to protoplasta historyków niemieckich, piszących pod hasłem „Drang nach Osten!“ Gallus to pod pewnym względem pierwowzór poetyzujących dzieje patryotów naszych. Żaden z nich dla czciciela prawdy historycznej nie może być modelem, ale obaj dostarczą mu cennych, a więc *godnych poszanowania* materyałów.

A. G. Bem.

[1]) Dytmar — ks. VI, 57: „Hujus Boleslai compar atque collega Harduigus“.

[2]) Wymowniejszem nad to, jakie u Dytmara znajdujemy, świadectwem nienawiści czechów dla Bolesława, jest osnuta na tle wypadków z r. 1004, pieśń „Kralodworskiego rękopisu“ — *Oldrich i Bolesław*, gdzie bohater narodu tak przemawia do swych zastępów:

„Za mnu, za mnu, chrabro na polany,
Na polany, wrahy nasich zemi!“...

NANA NA SCENIE.

Paryż, 4 lutego.

Przed dwoma blisko laty Aleksander Dumas w ostatnim ze swoich *Antraktów* postawił *naturalizmowi* podwójny zarzut: że nie jest czemś nowem w literaturze i że nie da się nigdy zastosować w teatrze. „Scena nie jest książką. Książka może, scena nie będzie mogła nigdy powiedzieć tego, co książka, gdyż we troje nie można mówić tak, jak by się mówiło we dwoje. A w teatrze jesteśmy zawsze... we troje“. Twierdzenie to, które nosi w sobie taką samą dozę słuszności jak i fałszu, niestety dla naturalizmu sprawdziło się na obecną chwilę zupełnie. *Nana* Zoli i *Jack* Daudeta, jeżeli Daudet jest naturalistą, upadły niemiłosiernie na scenie ku wielkiej uciesze podjazdowych krytyków, którzy rzucając kamienie w górę, sądzą, że robią dziury w niebie.

A widzicie, mówiliśmy, że naturalizm jest głupstwem; nie chcieliście słuchać, macie! Publiczność się nudzi, właściciel teatru drży ze strachu przed bankructwem, zagranica śmieje się z waszych dzieł i pokazuje wam figę!

Co za brak krytycyzmu!

Nana i *Jack* na scenie, toć to po prostu towar na handel, nieznośne przeróbki dzieł sztuki na coś, co ze sztuką nie ma nic wspólnego. Teatry we Francyi, tak jak zresztą wszędzie, wegetują, oczekując talentów, któreby je ożywiły dziełami współczesnego artyzmu. Ideały wczorajsze nie mogą być ideałami na dzisiaj. Myśl się starzeje a forma zużywa; nic więc dziwnego, że każde nowe pokolenie szuka przyjemności w takich tylko dziełach, które wyszły z jego umysłowego i artystycznego łona, nie zaś z zakurzonych szuflad biblioteki.

A tu tymczasem w teatrze zupełny brak świeżej strawy. *Wznowienia* elektryzują na chwilę, lecz wkrótce potem publiczność zapada na nowo w stan martwoty i zbolałym głosem woła: nowości, nowości! Cóż się więc dzieje! Dyrektorowie teatru zamawiają przeróbki z rozgłośnych powieści i za zgodą autorów, wziąwszy publiczność na lep ich nazwisk, wyrządzają krzywdę sztuce i to krzywdę bezpowrotną.

Można się bowiem zgadzać lub nie zgadzać na moralną wartość *Nany*, na siłę *Jacka*, lub na naturalizm obu tych powieści razem, zaprzeczyć jednak trudno, że one mogły być choćby tylko znośnemi w przeróbce na scenie. I to nie dla tego bynajmniej, aby naturalizm w powieści miał być czemś innem, niż naturalizm w teatrze, jak twierdzi Dumas, lecz dla tego, że dzieło pomyślane pod pewną formą nie nadaje się

do innej. Powieść od dramatu różni się budową, ułożeniem scen, nie zaś treścią. *Nana* więc, lub *Jack*, tak zajmujące i artystycznie ułożone w powieści, przeniesione na teatralne deski, przerażają naiwnością pomysłu, brakiem wszelkiej spójni, epizodycznością scen, ponieważ przetopione w nową formę straciły to, co miały pierwotnie, — artystyczną jedność.

Nie — powodzenie ich leży w sposobie przedstawienia rzeczy, nie zaś w rzeczy samej, w rozerwaniu jedności, nie zaś w naturaliźmie, jak to sobie większa część krytyków przedstawia, nie bacząc na fałszywą zasadę swego dowodzenia.

Pomyślmy bowiem. Ktoś zachwycony *Sykstyńską Madonną* Rafaela każe sobie możliwie dokładną i artystyczną jej kopię wymalować na suficie. Naturalnie, wrażenie będzie okropne. Proporcye pokażą się fałszywe, ruch bezsensowny, linie niejasne. Krytycy, podobni dzisiejszym, powiedzą, że idealizm nie nadaje się do plafonów, lub, jak Dumas, że są dwa idealizmy: jeden na ścianę a drugi na sufit. Ależ bynajmniej! Jeżeli idealizm, realizm, romantyzm lub naturalizm są wykładnikami dodatniej wartości w sztuce, to są one dobrymi zarówno na ścianę jak na sufit, w powieści jak w teatrze. Potrzeba tylko, aby artysta swoje dzieło pomyślał dla tej lub innej formy i liczył się z wymaganiami form, gdyż inaczej rzeczy najprawdziwsze wydadzą się fałszywemi, a najfałszywsze prawdziwemi, tak jak to miałoby miejsce, gdyby ktoś chciał obraz z plafonu przenieść wprost na ścianę i to, co było wykonane dla położenia poziomego, dać w położeniu prostopadłem, bez zwrócenia najmniejszej uwagi na różnice kątów widzenia, których niezachowanie rujnuje porządek i budowę linij.

Nie, naturalizm nie jest wadą w teatrze, jak nią nie jest w powieści lub sztukach plastycznych; potrzeba tylko, aby sztuki na scenę poczęte były przez autora scenicznego nie zaś powieściowego, a tem więcej jeszcze, aby nie były prostą przeróbką z powieści, jak to miało miejsce z *Naną* i *Jackiem*, które w swojej naiwnej, szopkowej budowie niczem się nie różniły od podobnych przeróbek z przed laty, bez względu na to, czy one się nazywały *L'Assomoir*, czy *Notre-Dame de Paris*, *Les Miserables*, czy też *Cinq-Mars*, to jest czy były dramatami z powieści naturalistycznych, czy też romantycznych, Zoli, Wiktora Hugo, czy też Alfreda de Vigny. Zresztą Zola w swej ostatniej przedmowie sam przyznał, że krytyka miała słuszność, nazywając jego dramatyczną przeróbkę *L'Assomoir'u* melodramatem o zwyczajnych, teatralnych konwencyonalizmach, którego osoby utrzymywane były za pomocą sznurków, jak za czasów króla Heroda. I nie mogło być inaczej. „Dzieło dramatyczne — jak mówi Fouquier — daje się począć w trojaki sposób: może ono być opowiadaniem, którego interes polega na rozmaitości powikłań, jak w naszych dramatach awanturniczych lub w komedyach z intrygami; może być akcyą, która wypływa nie z przypadków życia, lecz ze starcia się namiętności, jak w większej części naszych sztuk współczesnych; i może być nareszcie malowaniem charakterów i obyczajów, jak w wielkiej a częstokroć i w małej komedyi. Z chwilą jednak, kiedy staje się prostem widowiskiem, pokazującem nam przedmioty materyalne i rzeczy z wierzchu, takie dzieło dramatyczne jest tylko wdzieraniem się dioramy na scenę“. Sąd to słuszny i zdrowy; szkoda tylko, że zamiast pod specyalnym adresem Zoli i jego szopkowych przeróbek z powieści przesłany został pod formą otwartego listu do naturalizmu na scenie wogóle, to jest do artystycznej doktryny, która nie ma nic wspólnego ani z *Naną*, ani *Jackiem*, ani z żadnem innem dziełem. Są one utworami naturalistów, nie będąc jednak naturalistycznemi na scenie. A jak dalece scena potrzebuje, przeciwnie, ciągłego trzymania się w granicach naturalizmu, w karbach prawdy ściśle obserwowanej na rzeczywistem życiu, tenże sam p. Fouquier mógł się doskonale przeświadczyć o tem na pierwszem zaraz przedstawieniu *Księżniczki Bagdadu*, której autor, Aleksander Dumas-syn stał się na chwilę Dumasem-ojcem, i nie porzucając polowania na filozoficzno-etyczne paradoksy, puścił się na łowy intryg, przygód życia i tych nieprawdopodobnych a rozlicznych powikłań, które p. Fouquier odkrył w starych dramatach i komedyach i odsądził je od praw bytu w dzisiejszych utworach naszego teatru. Słuchając tej zawikłanej sieci intryg, rwącej się co chwila na szkopułach nieprawdopodobnych przygód i zszywanej nićmi błyskotliwych paradoksów, słuchacz z żalem myśli o śmierci Offenbacha, który jedyny mógł był sztukę ocalić dla kasy i umożliwić ją dla publiczności, tak awantury tego dramatu potrzebują skryć się za zasłoną jakiejś żwawej, drażniącej zmysły muzyki i stać się przez to mniej zrozumiałemi, mniej widocznemi dla oka krytyki i zdrowych zmysłów. Miałżebym pisać jego treść?...

Antoni Sygietyński.

HENRYK TOMASZ BUCKLE.

II.

Zaczepka Buckle'a nie mogła naturalnie pozostać bez odpowiedzi. Syn znieważonego sędziego i jakiś ksiądz bezimienny — ogłosili w następnym zeszycie tegoż czasopisma ostre artykuły. O pierwszym z nich Buckle zauważył: „Obrona ta stanowi najzupełniejsze usprawiedliwienie mego wystąpienia, i gdyby Coleridge zgodził się na moją propozycyę, wydrukowałbym zaczepkę obok obrony i rozpowszechnił je jak najdalej“. Ale chociaż postanowił więcej nie odpowiadać, nazbyt jednak był wzburzony, ażeby zdołał się powstrzymać. Pod tytułem: „Otwarty list do pewnego pana“ napisał broszurę, którą spór zakończył, a której przeciwna strona nie miała odwagi odeprzeć. Najbardziej dotknęło go oskarżenie młodego Coleridge'a, jakoby Buckle był złośliwym potwarcą. „Mam prawo wymagać, aby mi wierzono, jeśli mówię, że w tym wypadku jedynym moim celem jest obrona wielkiej a w oczach moich świętej sprawy wolności słowa i druku. Sprawa ta leży mi na sercu. Stworzyłem sobie nieprzyjaciół i zbudziłem niezadowolenie bardzo wielu ludzi, którzy mniemają, iż angielski sędzia zajmuje tak wzniosłe stanowisko, że on nie może być przedmiotem osobistych napaści. Co do mnie, jestem odmiennego zdania; bo właśnie wzniosłość, ważność i godność owego stanowiska usprawiedliwiły moje wystąpienie. Gdyby to był człowiek bez znaczenia, nie wartoby wyruszać w pole... Wszechwładny, nietolerancyjny sędzia, rozmyślający nad tem, jakby usta zatkać biednemu pozbawionemu obrony wyrobnikowi, jest przedstawicielem bardzo starej i rozpowszechnionej zasady. We wszystkich szeregach cywilizowanego świata toczy się taż sama walka, a kwestya, czy ludzie wszystko, co powiedzieć *pragną*, wypowiedzieć *mogą*, dotychczas nie została rozstrzygniętą. Chodzi o to: czy słowo należy odpierać słowem, czy też siłą. W jakikolwiek zaś sposób tę rzecz upiększymy — istota jej pozostanie niezmienną. W wielkim sporze między wolnością a uciskiem sir John Coleridge zajął swoje stanowisko, ja zaś moje... Uważam to za rzecz słuszną i naturalną, ażeby i literatura była w stanie karać, a wysokie swe posłannictwo najgodniej spełnia, broniąc słabego przeciw silnemu i okazując światu, że ona nie uwzględnia osobistości i wrazie potrzeby nie obawia się poskromić najpoważniejszych i najdumniejszych panów“.

Szczęściem dla Buckle'a polemika w sprawie Pooleya zajęła go wkrótce po śmierci matki, dostarczyła mu więc pewnej rozrywki, która w bolesnej chwili okazała się zbawienną. Pomimo to wszakże jego siły ciągle słabły, co przecież nie przeszkadzało mu bezustannie pracować nad drugim tomem *Historyi* — naprzemian w Londynie, Brightonie, Blackheacie, Boulogne i t. d. Praca ta posuwała się zwolna, tak że dopiero 1861 r. druk jej rozpoczęto[1]).

Po ukończeniu tej pracy Buckle zaczął gwałtownie upadać na zdrowiu. Lekarze dla wzmocnienia zalecili mu morskie powietrze. „Co za przepaść dzieli plany moje od moich sił“ — pisał on do żony znakomitego historyka Grotego. Wtedy to zwiedził Margate, Ramsgate, Brigthon, Carshalton i inne prowincye Anglii.

Po wyjściu drugiego tomu *Historyi cywilizacyi Anglii* rozprzedaż jej znacznie się wzmogła. W ciągu trzech miesięcy rozkupiono 3,000 egzemplarzy pierwszego tomu; wkrótce zrobiono trzecie wydanie i przedrukowano dzieło w Ameryce. Niebawem pojawiły się przekłady: niemiecki, francuski, hiszpański, polski (Lwów 1862, 63, 68) i rosyjski.

W połowie września tegoż roku próbował Buckle na nowo zasiąść do pracy; przekonał się jednak, że zadaniu temu nie podoła. Postanowił więc wyjechać do Egiptu. Dnia 20 października 1861 r. puścił się w drogę, i — niestety — ojczyzny swej już nie ujrzał.

Wyjechał w towarzystwie dwóch kilkunasto-letnich synów swego przyjaciela Hutha, pragnąc dla urozmaicenia czasu zająć się ich wychowaniem. Z dziwną sta-

[1]) Bogaty materyał, zebrany przez Buckle'a do dalszych tomów, Helena Tylor uporządkowała i wraz z jego odczytem, rozprawą o Millu i „Listem do pewnego pana“ wydała p. t. *Miscellanous and Posthumous Works of H. Th. Buckle.*

rannością i troskliwością zajmował się zarówno fizyczną jak i moralną stroną chłopców. Buckle, jak wnieść można z listów pisanych do Hutha, złożył dowody niezwykłej praktyczności i umiejętności stosowania swych teoryj w życiu praktycznem. Podróż ta wzmocniła jego siły; z radością też doniósł przyjacielowi, że wkrótce będzie mógł wrócić do pracy.

Po czteromiesięcznym pobycie w Egipcie udał się dalej przez pustynię do Palestyny i Syryi, w towarzystwie dwóch synów Hutha, pana Glennie, dragomana, kucharza, licznej eskorty szeików i poganiaczy wielbłądów. Chociaż miał przy sobie tłómacza, zaczął się uczyć po arabsku, ale wkrótce musiał znowu tę pracę przerwać. W Jerozolimie, zamieszkawszy w niezdrowym hotelu, dostał gorączki, która po raz pierwszy objawiła sie w Nazarecie, następnie w Sidonie i Bajrucie. Mimo pogorszonego zdrowia, jeszcze bardziej nadwyrężonego przez miejscowych lekarzy, podążył do Damaszku, który był zawsze przedmiotem młodzieńczych jego marzeń. Po kilkodniowym tam pobycie zmarł d. 29 maja 1862 r. Pochowano go na protestanckim cmentarzu, gdzie 1866 r. siostra wzniosła mu nagrobek.

Przymioty, cechujące *Historyę cywilizacyi Anglii* — śmiałość w uogólnianiu faktów, szerokie poglądy, bogata wiedza, umiejętne traktowanie rzeczy, nareszcie zapowiedź, że owe dwa wielkie tomy miały stanowić dopiero początek wstępu do wspaniale uplanowanego dzieła — wszystko to wielką na autora zwrócić musiało uwagę. Sposób, w jaki Buckle przedstawił swoje idee, z pominięciem wszelkich przesądów i tradycyj, opanował bezstronną, szeroką publiczność, a jednocześnie oburzył pewnego rodzaju „myślicieli", którzy ze wstrętem odpychają wszelkie zmiany pojęć, grożące zburzeniem ich umysłowym foremkom.

Niektórzy naiwni lub złej woli krytycy zarzucali Bucklowi brak oryginalności; były nawet głosy, które *Historyę Cywilizacyi Anglii* nazwały kompilacyą. Dziwna banialuka! Zupełna niezależność od prac poprzedników jest rzeczą niemożliwą. Żaden pisarz nie zdoła być bezwzględnie samodzielnym. Kto skrzętnie i cierpliwie zbadał wszystko, co wchodzi w zakres jego przedmiotu, kto fakta zebrał, uporządkował i uogólnił je, kto z nich wyprowadził logiczne wnioski, słowem, kto swoją pracę oparł na poprzednich badaniach i zbudował gmach nowy i harmonijny, temu niepodobna chyba odmówić orginalności.

Samuel Johnson radził pragnącym wystąpić w literaturze, aby długo z pisaniem nie zwlekali, gdyż potem z braku wprawy nie będą już umieli wyrażać swych myśli. Buckle zabezpieczył się od tego wypadku ciągłem ćwiczeniem i pilnością. Choć go natura obdarzyła stylem jasnym i logicznym, jednakże nie chciał polegać wyłącznie na darze przyrodzonym i około czterech godzin dziennie poświęcał studyom stylowym. Czytywał jedno z dzieł po mistrzowsku napisanych a potem z pamięci kreślił treść jego. Wreszcie porównywał swoje streszczenie z drukiem „dla dowiedzenia się, które myśli wyraził gorzej, aniżeli autor". W tym też celu czytywał arcydzieła francuskich stylistów. Nawet po wydaniu pierwszego tomu *Historyi* pracował usilnie nad poprawą swego języka i powiększeniem zasobu wyrazów. Wynikiem tego był styl logiczny, płynny, porywający. Gdy zaczął co pisać, zwykł był przechadzać się po pokoju dopóty, dopóki cały ustęp nie ułożył mu się w pamięci. Nie pisał oddzielnemi zdaniami, gdyż ten sposób, rwał łączność i związek rozumowania. Dla tego też nie poprawiał rękopisu, lecz pisał na nowo okres, który mu się nie podobał. Znaczna część *Historyi Cywilizacyi* a szczególniej świetne ustępy końcowe ulegały kilkakrotnej przeróbce, zanim przyjęły postać obecną. Nic więc dziwnego, że w jego dziełach nie można znaleść ani jednego miejsca chropowatego. Styl Buckle'a wywołuje zawsze skutek pożądany. Zwykle jest on prosty, bez ozdób, ale często wznosi się do ognistej wymowy, polegającej nie na dźwięku niezwykłych słów, lecz na doborze stosownych figur retorycznych.

Buckle nie był żonaty. Mając lat 17, zakochał się w kuzynce, która jednak wyszła za innego, również kuzyna. Henryk wyzwał szczęśliwego współzawodnika na pojedynek. Bezpośredni rezultat tej walki nie jest wiadomy, ale widocznie wypadł szczęśliwie dla przeciwnika, gdyż Buckle musiał ustąpić. Wkrótce potem pokochał się w drugiej kuzynce, panience szlachetnej, wysokich zalet serca, a przytem bardzo bogatej, która mu była wzajemną.

Gdy jednak matki zauważyły wzrastającą coraz bardziej skłonność wzajemną pomiędzy kochankami, nie dopuściły do związku. Tym sposobem Buckle pozostał po śmierci matki zupełnie osamotniony. Potem nie ożenił się dla tego, że postanowił nie uczynić tego wcześniej, aż zapewni sobie 3.000 funt. szt. rocznego dochodu. Na posag zaś nie liczył. „Spodziewam się w żonie mojej, — mawiał, — tylu przymiotów, że już do posagu żadnej nie roszczę pretensyi".

Buckle miał wysokie pojęcie o wychowaniu dzieci i dla tego zapewnie uczynił swoje małżeństwo zależnem od wysokiego dochodu.

(Dokończenie nastąpi.)

ROMANZO.

Był wieczór. — Miesiąc o rumieńcu kalin
Wzbił się za wzgórza okazały — z pychą..
Ozłocił brzozy, świerk i krzewy malin,
Co ponad wodą w mgle drzemały cicho...
Ich było dwoje . . . .

Już gwiazdy bielały,
Już i jutrzenka zagasła — a słońca
Promienie pełne wokół się rozlały —
Ich było dwoje, jak wprzód, śród miesiąca...
Co im tam słońce i ludzkie obmowy!....
Świat ten tak głupi!...

Lecz bojąc się, aby
Za cynizm nie spadł na mnie sąd surowy,
Powiem wraz szybko i krótkiemi słowy:
Dwie były to żaby....

J. Zengteller.

Kraków, 1881.

JASEŁKA KRAKOWSKIE.

Gdy syn krawca, czy szewca został marszałkiem sejmu, doprawdy nie warto już w Galicyi być hrabią. Niezwyczajny jednak ten wypadek o ile smuci naszych zapasowych (na wszelkie urzędy) arystokratów, o tyle raduje tych, którym burmistrzowskie laury dra Zyblikiewicza spać nie dały. I komu? Przed oczyma naszemi przesuwa się obecnie długi szereg kandydatów, dających znaki gotowości opróżnionego miejsca.

A naprzód dr. Weigel, któremu z wieku i z urzędu zaszczyt ten się należy. Jest on długoletnim vice-prezydentem Krakowa, wybitnym posłem w Radzie Państwa, sekretarzem Izby Handlowej. Kilkakrotny kandydat na burmistrza, zawsze upadał wobec przebiegłego i sprytnego współzawodnika. Przed siedmiu laty jeden głos rozstrzygnął na korzyść dzisiejszego marszałka (złośliwi dziwnie mówią o tym jednym głosie). Przed rokiem p. Weigel przegrał jeszcze dotkliwiej, w skutek gromadnego przejścia braci z Kazimierza na stronę jego przeciwnika. I dziś nie jest on pewnym zwycięztwa, czemu wreszcie sam winien, skłaniając się ku rozmaitym stronnictwom. Stańczycy ciężko zaważyli na losach jego życia, a jednak nie miał odwagi zerwać z nimi otwarcie, stanąć na czele partyi przeciwnej, która dotąd istnieje bez głowy. Przyznać jednak trzeba, że p. Weigel dobrze zasługiwał się miastu, a nieprzyjąwszy wynagrodzenia za ustawiczne zastępstwo prezydenta, dowiódł bezinteresowności. Wielkim jego przymiotem jest powaga, gładkość, równomierność w obejściu z ludźmi. Przymiot to nadzwyczaj ważny na stanowisku prezydenta, a brakiem jego odznaczał się p. Zyblikiewicz. Stańczycy i radcy, dobrze życzący swej kieszeni, nie mają przekonania do p. Weigla, naczelnym zaś ich kandydatem jest:

P. Szlachtowski, adwokat, człowiek bardzo poczciwy, a jeszcze więcej miękki. Urządzał bal dla cesarza i wywichnął sobie rękę, ma więc zasługi w obec austryackiej monarchii. Rządy jego sprowadziłyby tylko nierząd, a wówczas pole dla Stańczyków i „przemysłowych" radców stałoby otworem. Gdyby p. Szlachtowski kandydatury nie przyjął lub z nią upadł, nasz „rząd moralny" posiada trzech jeszcze innych amatorów: pp. Zolla, Chrzanowskiego i Muczkowskiego.

P. Fryderyk Zoll wykłada na uniwersytecie prawo rzymskie. W ostatnich latach zasmakował w podawaniu ręki hrabiom i książętom, i mimowoli przeszedł do Stańczyków. Trzeba mu przyznać zmysł praktyczny: trzyma się zawsze mocniejszego. Przed niewielu laty objawiał barwę czarno-żółtą, równie jak jego ojciec i brat, znany germanizator na Szlązku. Kiedy w roku 1863 drugiemu bratu jego sprawiono pogrzeb, pan Zoll wraz z ojcem nie oddali mu ostatniej przysługi. Zapewnie dla zasady! Zresztą, jako prywatny człowiek i profesor, ma p. Zoll dużo stron dodatnich. Jest prawy, sumienny w wykonywaniu swych obowiązków, a że uczony, dowód tymczasem w powołaniu go na członka Akademii.

P. Chrzanowski, jako poseł, bardzo zdolny i pracowity. Kto wie, czy mimo niepoważnej figury nie jest to jedyny poważny kandydat obok p. Weigla. Znakomity przytem taktyk. Przed dwudziestu i coś laty widział kilku i to żywych garybaldczyków, a widok ten wzbudził w nim męztwo i wywołał ukryte zdolności taktyczne. Nie popisywał się z niemi wprawdzie na polu bitwy, ale dał je poznać w *Czasie*. I gdy on ustąpił z redakcyi, duch wojowniczy opuścił to pismo, które zamiast z mieczem, występuje teraz z sikawką.

P. Stefan Muczkowski zajmuje ostatni plan Stańczyków. Od biedy i ten notarjusz lepszy dla wielu od p. Weigla, bo słaby umysłowo i wygodny przy interesach.

Partyę poczciwych mieszczan wiedzie za sobą p. Friedlein, księgarz krakowski, były radca miejski, który ledwie może cieszyć się nadzieją zwycięztwa.

Wielką ochotę zostać prezydentem ma p. Wentzel, (kupiec), większą jeszcze p. Rzewuski (fotograf); każdy z nich może być pewien... swojego głosu.

Darujcie mi tę litanię prezydentów *in spe*, ale od dwóch tygodni tak nam świdrują uszy Weiglowie, Zolle i t. d., że mimowoli wierzyć trzeba w ważność sytuacyi wywołanej nominacyą p. Zyblikiewicza. Otrząsnąwszy się z tego złudzenia, przeprowadzam was czytelnicy do literatury.

Chciałbym przedewszystkiem dotknąć się dziewiczego ciała „Koła literackiego,“ które bardzo niewinnie i przyzwoicie się bawi. Czytałem jednak tyle już w pismach warszawskich opisów działalności „Koła,“ wyglądających na reklamę dla towarzystwa i jego humorystów, że nie przypuszczam, aby który z czytelników nie umiał już na pamięć wiersza p. Bartelsa i utworu o „relsie i Bartelsie“ pana Bartoszewicza. Świeże rugi w redakcyi *Czasu* i jego umizg do Asnyka, jako feiletonisty (skutek tych zalotów jeszcze nieznany)—nie są to fakta, które literaturę dreszczem lub radością przejąć mogą, więc nie rzucam na nich światła. Pomijam również nowonarodzone *Muzeum*, które zyskało debit w Królestwie i pewnie zdanie *Prawdy* od właściwego jej sprawozdawcy usłyszy; pozostaje mi więc tylko zapisać ukazanie się na naszym horyzoncie *Gwiazdki*, która również co dwa tygodnie ma być widzialną, oraz... co? Nie ma chyba tak niedomyślnego czytelnika, którego by Sfinks za nierozwiązanie tej zagadki strącił w morze... Co się w Krakowie wydaje, wszystkim wiadomo. Tym razem: *Słońce, nauka poparta przez spirytualizm*, i *Żywot ś-tej Kunegundy*, z dodaniem żywotów jeszcze dwóch innych świętych niewiast. Autorem jest ks. Popławski.

Trudno pisać kronikę krakowską, nie poświęciwszy pośmiertnego wspomnienia zmarłemu A. Rydzowskiemu. Był to człowiek nieposzlakowanej prawości, a pracami swemi w sejmie i w Radzie Państwa zacnie służył krajowi. Poczciwy, łatwo dał się powodować zręcznym obrotom stańczykowskim, wierzył w szlachetność ich dążeń i szedł ślepo, g[illegible]zie go zawiedli. Wina to jednak nie charakteru, lecz miękkiej poczciwości, która często aniołów oddaje w ręce politycznych kuglarzy. Zapomnijmy to zmarłemu, a zapamiętajmy ustawę o lichwie i ustawę hipoteczną dla włościan, które były owocem jego pracy i miłości bliźniego.

Dzień 8-go marca przeznaczony jest na wybór posła na miejsce Rydzowskiego. Kandydatów tak wielka sterta, że nawet ich imiennie wypisać nie probuję. Zaznaczę tylko, że p. Koźmian cofnięty z biegu.

Na zakończenie parę słów w własnej sprawie. W poprzednim liście wspominałem o trawestacyi wiersza Mickiewicza „Do matki Polki“ i podałem wyjątek z przeróbki ks. Siemieńskiego. Jeden z czytelników *Prawdy* zarzucił mi, że jest to trawestacya Krasińskiego, nie Mickiewicza. Dziwnym zbiegiem okoliczności obie strony miały słuszność; ja całkowitą, pan X... w połowie. Ks. Siemieński popełnił gwałt na utworze Adama i ja z trawestacyi wiersza „Do matki Polki“ żywcem przytoczyłem wyjątek. W wyjątku tym jednak ks. Siemieński w braku własnego konceptu użył dwóch wierszy Zygmunta — i oto cała przyczyna nieporozumienia.

Pisząc o trawestacyi, nie poruszyłem jednak bardzo ważnego punktu. Ks. Siemieński najwyraźniej pisze, że na przeróbkę swoją dostał pozwolenie od dzieci Adama. Zapytajmy się, jakiem prawem dzieci Adama wydają podobne pozwolenia? Czyż myśl i forma wiersza są ich wyłączną własnością, którą wolno im skrzywić, oddać na zepsucie byle jakiemu niedołężnemu pisarczykowi? Jeżeli p. Władysław Mickiewicz z powodu przedruku „Warcabów“ swego ojca całą prasę polską poruszył, stając w obronie materyalnych korzyści, to niechże społeczeństwu będzie wolno żądać od tego pana nietykalności utworów należących do narodu.

I. G.

LIBERUM VETO.

Rozporządzenie przeciw lichwie. Jego bezskuteczność. Lichwa i procent. Co poczną odprawieni przez lombard i banki?... Zdrowie i życie. Pożegnanie z p. Zakrewskim. Bismarck i p. Popiel. „Bąki“. *Atheneum* z miłości dla *Prawdy*.

Z rozporządzenia władzy wyższej policya przedsięweźmie surowe środki przeciw lichwiarzom. Wszystkie ich składy mają być do 13 lipca zamknięte, a zastawione przedmioty właścicielom zwrócone. Cieszylibyśmy się wraz z całą prassą tem rozporządzeniem, gdybyśmy wierzyli w jego skuteczność. Nauka nie zna lichwy, zna tylko procenty, pobierane przez wierzyciela od wypożyczonego kapitału. Czy procent wynosi 5, czy 50 — to *w zasadzie* jest wszystko jedno, różnica zachodzi tylko w stopniu jej zastosowania. Biedni jednak ludziska, którzy nie pytają o zasady, a rozróżniają ich praktyczne stopnie, którzy wolą na swych barkach mniejsze niż większe ciężary, innem mianem przezwali to, co ich silniej, a innem to, co ich słabiej gniecie. Stąd powstało błogosławieństwo dla procentów prawnych (niższych), a złorzeczenie lichwiarskim (wyższym). Najnowsze więc rozporządzenie władzy wypowiada wojnę wszystkim procentom po nad 5%? Chyba nie, bo w takim razie należałoby zamknąć nietylko składy lichwiarskie, ale i bardzo wiele banków, daleko przechodzących za tę stopę. Również należy zapewnie wyłączyć hipoteki, dla których 5% stało się dawno mytem. Pozostają więc tylko prywatni operatorowie, którzy pobierającemu 300 rs. pensyi rocznie urzędnikowi pocztowemu każą za 100 rs. wystawiać weksel na 250, lub ubogiej rzemieślniczce za chustkę wypożyczają 5 rs. z rozpłatą na raty po 2 rs. miesięcznie przez pół roku. Otóż zachodzą pytania: w jakie sidła policyjne da się złapać taki ptak, który pożyczył rs. 100 a posiada weksel na 250? drugie, czy najbardziej zaostrzona czujność zdoła wyśledzić fanciarzów? w końcu trzecie, podobno najważniejsze, co zrobi urzędnik pocztowy, rzemieślniczka, muzyk — no, nie kryjmy własnej nagości — literat — co zrobią ci ludzie w chwilach niedostatku bez lichwiarzów? Pójdą do jedynego lombardu — ten im odpowie, że posiada tylko kapitału rs. 60 k. 13 a żądających pożyczki 80. Pójdą do któregokolwiek z banków, każdy im w oczy się roześmieje. Więc co zrobić, gdy Fischbeiny i Jodkowscy będą siedzieli w kozie za lichwę? Wystaw sobie, czytelniku, że jestem człowiekiem rzetelnym, niemającym ani grosza długu, odpowiedzialnym o tyle, o ile niezmordowana praca przy skromnem życiu odpowiedzialną być może, wystaw sobie dalej, że moi znajomi i przyjaciele są niezamożni, co poczną w chwili nieszczęścia, w chwili choroby, pogorzeli, okradzenia? Chociażbym jak najuroczyściej przysiągł przed wszystkimi dyrektorami Banku Dyskontowego i jak najwięcej przedstawił świadków, że dług oddam, nie dostanę nawet 50 rs. Wtedy najwyższym dobroczyńcą wyda mi się fanciarz, aniołem—lichwiarz, który za tę drobną sumkę będzie mnie darł do dziesiątej skóry.

Wobec tych względów sądzę, że daleko skuteczniejszem byłoby usunięcie potrzeby istnienia lichwy, niż zakaz trudnienia się nią. Usunąć zaś ją można tylko przez dozwolenie zakładania lombardów, kas pożyczkowych, stowarzyszeń, słowem przez rozszerzenie pola nietylko kredytu rzeczowego, ale i osobistego, którego u nas prawie nie ma. Jeżeli zaś z jednej strony nie będziemy mieli instytucyj, wspomagających niedolę, a z drugiej lichwiarzów, będącym strasznym, ale jedynym jej ratunkiem, znajdziemy się w położeniu nędzarzów, którym nie pozwolono jeść zgniłych kartofli, ale nie dano zdrowych. Zdrowie jest sprawą ważną, ale ważniejszą — życie.

Prezes Sądu Okręgowego Warszawskiego, p. Zakrewski, pożegnał się w ubiegłym tygodniu ze swymi podwładnymi kolegami. Przy tej sposobności rzekł: „Jesteście panowie najlepszym dowodem tego, iż potwarzą jest, jakoby polacy uprzedzali się przeciw pracującym wśród nich a należącym do innego narodu, gdy ci stawiają prawo po nad wszystko. Szczęśliwy jestem, że to ja wszystkich was wybrałem. Nie trudny jednak to był wybór — nie dlatego, abym się nie mylił, jak inni ludzie, owszem, uznaję słabość sił moich — ale że wybierałem ze społeczeństwa, słynącego ze swych przymiotów moralnych, wielkiego poczucia obywatelskiego i kierowania się kardynalnemi zasadami, na których opiera się dobrze uorganizowane społeczeństwo. Ograniczoną była moja działalność a jednak służyłem społeczeństwu, jak mogłem. Byłem bowiem zawsze tego zdania, że jedyne pole naszej pracy wspólnej, pole sprawiedliwości i prawa, powinno być wolnem od wszelkich względów innej natury i starałem się dowieść tego czynem. Notaryat warszawski pod względem swej działalności może z dumą stać w pierwszym rzędzie notaryatów Europy. Wierzcie, panowie, że z wielkim smutkiem rozstaję się z wami“.

Słowa p. Zakrewskiego uważamy nietylko za ostatni akt sprawiedliwości, wymierzonej przez niego naszemu społeczeństwu, ale nadto jako testament, którego wykonawcą będzie następca dotychczasowego prezesa. Czy go wykonać zechce? dowiemy się niezadługo. Tymczasem winniśmy przyznać, że o ile sam zmieniony charakter sądu na to pozwalał, p. Zakrewski w przewodniczeniu mu nie wychodził po za granice prawa, był rzeczywiście „wolnym od wszelkich względów innej natury,“ słowem „służył, jak mógł, społeczeństwu.“ Względzie znaczy to dużo; u nas, gdzie owe „względy innej natury“ najczęściej przeważają — tak dużo, że, nie znając następcy, żałujemy poprzednika.

Niedługo przyjdzie nam żałować i pani Popiel. Artystka bowiem, rozdrażniona tem, że który z pism nie pozwala paradyzowi oklaskiwać zapamiętale jej gry, (tak doniesiono w gazetach) podała się do dymissyi. Jak widzimy powód ważny i żądanie skromne. Dla czego nie mielibyśmy ustąpić, jeśli artystka za warunek swego kontraktu z publicznością stawia zupełną swobodę dla uniesień paradyzowych? Co do mnie, nic nie mam przeciwko temu, abym tylko był pewnym, że artystka znowu z innego powodu nie przerazi nas groźbą swej dymisyi. W takim bowiem ustawicznym niepokoju długo żyć nie możemy. A jeśli ks. Bismark przestał już drażnić niemców swojem ustąpieniem, to sądzimy, że i artystki teatralne zrobią dla nas tę łaskę, zwłaszcza że dziś wypada nam około trzech „przesileń“ teatralnych dziennie.

Dla mnie osobiście spokój z tej strony jest bardzo potrzebny choćby dla tego, ażebym moją „nerwową łaskotliwością“ (?) nie raził redakcyi *Ateneum*. Pismo to, jakby dla rozjaśnienia naszych wątpień co do jego przyszłości, zakreśliło ostro swój stosunek do... pierwszych czterech numerów *Prawdy* i zapolowało sobie w nich na „bą-

ki.“ Obejrzmy torbę celnego myśliwca i zobaczmy, czy on czasem nie ubił swojej zamiast naszej zwierzyny. Itak, część naukowa w *Prawdzie* ma być za słabo reprezentowana. „Ażeby *mieć prawo* zarzut tego rodzaju sformułować i stwierdzić — powiada sam kronikarz *Ateneum*—potrzeba *większej liczby faktów*, boć żadne pismo w czterech numerach nie może wykazać się jeszcze w całości swego programu.“ Jeśli autor tak sam sądzi swój zarzut, to chyba ustrzelił własnego „bąka.“ Powtóre, według niego, „utożsamiliśmy całą prassę warszawską z odosobnionymi jej głosami“ w sprawie książki p Konopnickiej. Ponieważ nie mówiliśmy o *całej* prassie, tylko o *bogobojnej*, więc znowu i ten „bąk“ nie do nas należy. Po trzecie, publicyści w *Prawdzie*, zdaniem kronikarza, na obraz naszego społeczeństwa „*żałują* jeszcze ram politycznych.“ Ponieważ p. krytyk wyrzuca nam *lapsus calami*, więc go zapewnie sam nie zrobił i dobrze pomyślał nad tem, co powiedział. Otóż objaśniamy go, że *żałujemy* tylko poważnych kart Ateneum, zapisujących się po raz pierwszy lekkomyślnemi insynuacyami. Bo jeśli powiemy: dajcie ubogiemu wprzód jeść, żeby nie umarł, a potem kij, ażeby miał się czem bronić, to nie znaczy, że mu *żałujemy* kija. Z kolei bąk czwarty. *Ateneum* twierdzi, jakoby *Prawda* utrzymywała (w Nr. 4), żeśmy „*utracili siłę duchową i materyalną, tudzież zdolność utrzymania się przy życiu*.“ Przytoczmy słowa nasze: „Nie z tego wywodzić *należy racyę i prawo istnienia polaków*, że bez nich Europa spokojnie zasnąć nie może, ale z tego, *że są*, że są sami dla siebie, że tworzą odrębny, dość liczny naród, że posiadają *własną dość wysoką cywilizacyę*, która zasila ogólny postęp ludzkości i wzbogaca go ważnymy, oryginalnymi pierwiastkami.“ To znaczy, według *Ateneum*, utracić siłę i zdolność życia! Jeszcze jedna próbka życzliwego tłomaczenia naszych myśli. Wyrwawszy jedno zdanie z artykułu „Polityka przedmurza,“ pyta oparty na niem dumnie krytyk, czy nas mniej boli stracona samodzielność, niż chichot prasy niemieckiej? Gdybym dziecku opowiedział taką bajkę: twój dziad stracił na wojnie majątek, twój ojciec poszedł w służbę, a twój stryj obłąkany chodzi w naszem imieniu po żebranem, zewsząd śród śmiechów za drzwi wyrzucany; bardziej mnie boli ta zniewaga niż służba— gdybym to powiedział dziecku, z pewnością by nie zapytało: to ty ojcze wolisz służyć, niż słyszeć, jak się z ciebie śmieją? Wiedziałoby bowiem, *jak* i *z czego* się śmieją.

Jakkolwiek krytykowi *Ateneum* nie podobało się jeszcze wiele innych rzeczy (nawet pseudonym *Junius*), z obawy jednak, ażebym przez niego nie był ponownie skarcony za to, że „z armatami robię wyprawę na wróble“, przerywam dalsze badanie „bąków“. Otrzaskani z tego rodzaju krytykami naszej działalności, dziwimy się o tyle tylko temu pukaniu, o ile jego głos dochodzi nas z pisma poważnego; chociaż poniekąd mogliśmy się spodziewać, że od czasu jak w *Ateneum* zapanowały „*wrażenia* literackie“, rozum mniej będzie czynnym a młode ząbki redakcyjne muszą także spróbować swej siły. Że rozpoczęły kąsanie od nas, nie stało to się z przypadku, zwłaszcza że popieściły równocześnie trzy inne pisma. Spodziewamy się za to, że gdy p. Chmielowski, którego prosiliśmy o współpracownictwo w *Prawdzie*, dostarczy nam przyrzeczony artykuł, może pismo nasze wyda się redakcyi *Ateneum* lepszem, chociażby ze strony naukowej. Tymczasem będziemy znosili przygryski, przyczepki, wyciąganie i mierzenie nitek dla pokazania że nie są równe, słowem wszystkie sposobiki robienia krytycznych szarpi—i nawet nie odpłacimy pięknem za nadobne.

Poseł Prawdy.

MALARSTWO I RZEŹBA.

Wybitnym dowodem żywotności naszej sztuki malarskiej jest urodzaj na talenta. Co chwila w szeregu pracowników pędzla staje nowy zapaśnik, a nierzadko z tłumu nieznanych ukazuje się talent nowy, samodzielny, wzbogacony zasobami sztuki, jakie daje rozwinięta już dojrzałość. Takim właśnie talentem, co odbył w cieniu swój nowicyat i ukrywał swe młodociane płody, jest pan Rossowski, którego *Skazana* znajdująca się na wystawie p. Krywulta, należy do najpiękniejszych dzieł polskiego pędzla. Artysta postawił sobie zadanie prawdziwie psychologiczne. Przed kościołem Panny Maryi w Krakowie umieścił w szarej koszuli okutą w kajdany delikwentkę, przy której stoi odziany w purpurę kat, oparty na mieczu, postać nacechowana apatyą krwawego rzemiosła. O operacyi, którą ma wykonać, myśli on widocznie z takim spokojem, jak rzeźnik, gotujący się do ćwiertowania mięsa. Sama skazana jest tak piękną, jak „ziemski grzech“ a z lilii, którą jej podaje żak uliczny, można się domyślać, że stoi pod pręgierzem za panieńską zbrodnię dzieciobójstwa. Ten pomysł ironiczny niezbyt udał się artyście, gdyż jak na ulicznego żartownisia taki sposób szyderstwa jest nadto wyszukany. W twarzy kobiety szukamy także więcej pognębienia i boleści, gdyż dość pospolity smutek, rozlany na jej ślicznych zresztą rysach, nie odpowiada okropności chwili. Za nią z drzwi kościelnych wychodzi różnorodny tłum pobożnych, których uderza widok tej kryminalnej parady. Każdy z przechodniów inaczej okazuje swe uczucia i wrażenia, a oddanie całej gamy rozmaitych usposobień, stosownie do stanu i natury przedstawionych ludzi, jest właśnie zadaniem, którego wszystkie trudności pan Rossowski pokonał. Otyła pani spogląda bokiem na nieszczęśliwą z wyrazem lekceważącej obojętności; stary rzemieślnik przypatruje się chłodno ale ciekawie; mała dziewczynka, stojąca tuż przy skazanej, patrzy ze spokojem dziecięcej nieświadomości; w głębi idący mężczyzna, żegnając się pobożnie, okazuje głębokie, spokojne współczucie; po za tłumem stoi trzech mężczyzn, zajętych widocznie rozprawą prawną o winie skazanej, gdyż jeden z nich okazuje zapewnie w otwartej księdze odnośne paragrafy prawa. Los pokutnicy najmniej obchodzi jakąś starą szlachciankę, poważnie odzianą we wdowie szaty, obok której postępuje hoża świeżo rozkwitła dziewoja, zachowując należną powagę wobec tego widoku, a tylko bokiem zerkając nieznacznie. Najżywiej odczuwa tę okropność losu skazanej stojąca w głębi dziewczyna, zapewnie jej siostra lub przyjaciółka, która szlocha boleśnie, oparłszy się na drugiej także smutnej i cierpiącej kobiecie. Trzeba zaprawdę widzieć obraz, aby ocenić całe bogactwo i różnorodność charakterystyki tych figur, oddanych z doskonałą prawdą zewnętrzną i wewnętrzną, znakomicie pochwyconych w ruchu. W wyrazie twarzy, malowanych z całą sumiennością piękną, szlachetnej i skończonej techniki. Każda z tych postaci żyje, posiada indywidualność odrębną, oblicze typowe i charakterystyczne. Pomimo różnorodności tłumu, artysta osiągnął doskonałą „zbieżność efektów“ gdyż potrafił każdą z figur scharakteryzować odnośnie do głównej osoby obrazu i stworzył scenę, odczutą prawdziwie głęboko. W pojęciu i wykonaniu tych figur widać tu siłę bez przesady, charakterystykę bez maniery, naturę bez afektacyi. Przy bliższem rozpatrzeniu się w tem pięknem dziele, krytyk dostrzeże niepospolite zalety techniki, skończoność formy i prawdę oraz harmonię układu, ale największym tryumfem artysty jest owa siła bezpośredniego wrażenia, która mu wstępnym bojem zdobywa sympatyę i zajęcie widzów. Z grona innych udatnych i mniej udatnych nowości w salonie p. Krywulta wyraźniej wpada w oko fantastyczny obrazek Chełmońskiego *Odlot żórawi*, sprawiający pewne wrażenie oryginalnie uchwyconym ruchem ciemnych sylwet ptaków, ginących w mglistej oddali, jak ów sznur fantastyczny, na którym bują powietrzne widmo wyobraźni Słowackiego—smętna Goplana.

Na wystawie p. Ungra nęci pięknym widokiem bardzo dobrze malowane zwierciadło wód zatoki „Sorrento“ na obrazie pana Łonczyńskiego, któremu jednak brak w tonie ogólnym południowego gorąca i włoskiego lazuru niebios. Szereg illustracyj pana Andriollego do *Pamiętników kwestarza*, przedstawia galeryę scen ruchliwych, w których artysta gonił za typowością a rzadko potrafił ją schwytać, gonił za efektem a często wpadał w manierę, będącą prawdziwą plagą jego pomysłowego talentu... Co prawda w tych rysunkach mniej widać gwałtownych skrętów i kontorsyj, aniżeli w innych illustracyach tego artysty bardziej zeszpeconych manierą; chociaż i tutaj na przykład na jednej rycinie splot wstążek przy warkoczu tańczącej dziewczyny przypomina bardzo pęk wijących się wężów na głowie eumenidy. Sam kwestarz jest zwyczajnym, zapasionym bernachem i nie ma tej dobrodusznej jowialności, maskującej bystry dar obserwacyi, jaką odznacza się główny bohater popularnych gawęd Chodźki. Przyznać jednak należy, że z kilkunastu tych rysunków, parę zaleca się dobrą i spokojną kompozycyą oraz pewnem życiem w charakterystyce figur. Patrząc na portret jakiejś damy z jasno pomarańczowymi włosami, malowany przez Mackarta, mieliśmy prawdziwy żal do wielkiego artysty, że zamiast jakiej nęcącej fizycznem bogactwem nimfy o kształtach powabnych i pociągających, namalował suchą, sztywną, anemiczną damę, z ręką niemożliwie cienko struganemi, z chorobliwie przedłużoną deską piersiową. Artysta, goniąc za efektem smukłości, przesadził niemożliwie sztuczne proporcye ciała, a stosując do malowania portretu styl dekoracyjny, zdobył się tylko na przesadne oddanie kostiumu.

Ozdobą wystawy Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych jest niewielki, ale bardzo piękny obraz pani Magdaleny Butowt-Andrzejkowicz: *Tatarzy grający w kości o brankę*, który od pierwszego rzutu oka uderza prawdziwie męzką energią pędzla. Widzimy tu, jak pod szałasem skleconym z belek i gałęzi, zawieszonych szmatami, wśród zrabowanych skarbów leżący na dywanie dwaj tatarzy, otoczeni gronem ciekawych towarzyszy, za pomocą gry w kości roztrzygają spór, do kogo należeć będzie młoda kobieta, przywiązana powrozami do słupa. I ten obraz odznacza się doskonałem odczuciem sceny oraz malowaniem, pełnem siły i energii. Wyrazy twarzy grających, pełne zwierzęcej dzikości, są niezmiernie typowe, wszystkie figury naturalne, pełne życia, a zarówno sama scena jak i jej akcesorya noszą doskonale chwycony charakter koczowiska gromady łupieskiej, która skleciła liche namioty na otwartem polu, aby za chwilę wyruszyć dalej dla pożogi i rozboju. Artystka dla oddania tego charakteru użyła właściwie techniki opartej na dosadnem szkicowaniu, potęgującem wrażenie siły i oryginalności tego niepospolitego obrazu. Bardzo pięknym jest także p. Andrzeja Grabowskiego—portret księcia Adama Sapiehy, prześlicznie wykończony, pełen życia, energii w wyrazie twarzy, doskonały w tonie karnacyi i malowniczy w układzie akcessoryów. Zdumiewające wrażenie czyni pejzaż p. Lachnickiego, na którym widzimy trzy wielkie bałwany morskie, toczące się ku pia-

szczystemu brzegowi. Zawieszona nad morzem chmura rozczepia się na dwa symetryczne skrzydła, co należy bezwątpienia do dziwnych zjawisk atmosferycznych... Patrząc na to szaro brunatne morze, którego woda jest zabarwiona efektownym kolorem pomyjek, patrząc na ten brzeg pusty jasno kawowego koloru, wpadamy w poważną zadumę nad znikomością usiłowań człowieka, który naprożno chciał pokonać morze.

W dziale rzeźby, jak zwykle u nas, bardzo ubogo. Godną wszakże zaznaczenia jest duża fontanna, wykuta z piaskowca przez p. Kucharzewskiego a przedstawiająca rodzajowo pojętą grupę nimfy rzecznej, trzymającej dzbanek nad głową i otoczoną dwoma chłopiętami. Układ tej grupy jest bardzo ładny, draperye na głównej figurze fałdują się w pięknych liniach, ale robota w ogóle gruba, pospieszna, szyja nimfy sztywna, wygląda jak kawałek głowy od cukru, twarz jej nieestetyczna a jeden z malców stroi na twarzy także niezrozumiałe grymasy. Dwie konkursowe figurki ks. Kordeckiego świadczą, że artyści, tworząc nawet na doskonale wybrany temat, nie mogą na urząd odnaleźć religijnego zapału i uniesienia. Chociaż praca p. Marczewskiego, mająca zresztą swoje zalety, otrzymała nagrodę konkursową, a praca p. Klossa zaszczytną wzmiankę, wyznajemy otwarcie, że wolimy ostatnią, gdyż więcej ma ruchu i energii w układzie, chociaż w jednej i drugiej Kordecki jest tak ustawiony, jakby patrzał w dół na Szwedów i ręką wskazywał także na Szwedów, pragnąc, aby się wzajemnie bili między sobą zamiast szturmować do klasztoru. Obie te prace nie mogą stanowić argumentu na korzyść zasady użyteczności konkursów.

S. W.

TEATR.

Że sztuki ludowe są obecnie na dobie, dowodem tego *Czartowska Ława*, która rokuje takież obfite żniwo dla kassy Teatru Małego, jakie dała już teatrom prowincyonalnym. Nie będziemy się wdawali w szczegółową jej ocenę, nie chcąc mnożyć krytycznego gadulstwa. Powiemy tylko, że w stosunku do dawniejszych utworów na polu literatury ludowej odznacza się ona brakiem wyskakującej tendencyjności, oraz zamknięciem się wyłącznem w zakresie czysto wiejskiego życia. Niema tu opatrznościowego dziedzica, bez którego nawet Anczyc w *Emigracyi* nie mógł się obejść; niema zwykłych tyrad przeciwko pijaństwu, choć są nawoływania do pracy i oświaty, niema morału pedagogiczno-kaznodziejskiego *ad usum delphini*, chociaż jest dosyć pobożnej deklamacyi, religijnego patosu i efektów wyzyskujących całą zewnętrzną malowniczość wiejskiego życia. W oddaniu charakterystycznej strony tego życia talent autora zdobywa się na rysy najżywsze, daje szereg scen ruchliwych, oryginalnych, pochwyconych z natury.

Ustępy deklamacyjne tracą powszedniością. co było rzeczą nieuniknioną, gdyż w tym kierunku życie nie mogło dostarczyć autorowi obok obserwacyjnego materyału. Sztuka zyskała na tem, że autor okroił wiele zbytecznych miłosnych gruchań, które dźwięczały niesukmanowym sentymentalizmem. Kompozycya, wcale oryginalnie pomyślana, obfituje w sceniczne efekta, chociaż jej melodramatyczny aparat przy końcu przypomina cokolwiek *Sobkową zagrodę* Mosenthala, który tak samo jak p. Galasiewicz skazał czarny charakter swej sztuki na karkołomny spadek ze skały w przepaść. Całość ma charakter panoramiczny, gdyż autor działa współrzędnie massami i scenami zbiorowemi; ale przyznać należy, że potrafił spoić te epizody dość zręcznemi nićmi. Pod względem scenicznym pierwszy zwłaszcza i czwarty akt tej sztuki są zajmujące i efektowne, środkowe osłabiają trochę wrażenie, całość jest bezwątpienia dobrym, zajmującym dramatem ludowym, opartym przeważnie na realizmie zewnętrznym, wzmocnionym skutecznie przez popisy tancerskie. Gragono na małej scenie ochoczo a wśród gromadki wykonawców przewodniczyli panie Borkowska, sam autor i p. Sikorski, którym dopomagali wcale nieźle p. Zimayer, panowie Chomiński, Waliszewski, Holtzman i Stromfeld. Niektórzy jednak artyści w kapocie wyglądali jak przysłowiowy „wilk w chomącie“, a ciasnota sceny szkodziła wrażeniu ustępów zbiorowych, które musiały się skurczyć i tłoczyć zbyt bezładnie.

S. K.

W PERSPEKTYWIE.

Ciężka zima wyprowadzać zaczyna na wierzch życia ukrytą w jego głębi nędzę w takich kształtach, które obudzają a przynajmniej obudzaćby powinny w społeczeństwie poważne zajęcie się niedolą. Z różnych stron kraju dochodzą nas głuche wieści o niedostatku, przygniatającym już teraz biedną ludność wsi i miasteczek. Czegóż więc spodziewać się należy na „przednówku?“ Zbiory zeszłoroczne pozostają znacznie w tyle po za normalną granicą potrzeb, prowadząc za sobą cały szereg ujemnych skutków. Tak naprzykład *Gazeta Kielecka* donosi ze Stopnickiego, że w tamtejszej okolicy lud bez robny gromadami obchodzi od wsi do wsi, szukając służby, i znaleść jej nie może. Właściciele dóbr posunęli do ostatecznych granic oszczędności w zakresie utrzymywania służby i robotnika, włościanie zaś wcale nie trzymają służących. Zapotrzebowanie najemników dziennych także jest bardzo małe, pomimo że potrzebujący zarobku zadawalniają się bardzo niską płacą, bo kobiety biorą dziennie po 6 do 7½ kopiejek, mężczyzni po 10 do 12. Podobnie smutne echa dochodzą i z innych stron kraju. Są to zwiastuny, niedające nam należytego obrazu położenia — niby skinienia krwawej chusty dziewicy morowej z Pieśni Wajdeloty, które zapowiadają klęskę. I nie może być inaczej, skoro nikt nie troszczy się o to, aby śmiało zajrzeć złemu w oczy i pomyśleć o zapobieżeniu jego skutkom. Jak dziwna, tylko opieszałością naszego charakteru w rzeczach powszechnego dobra wytłomaczyć się dająca apatya panuje wobec groźnego widma nędzy, charakteryzuje dostatecznie ten fakt, że o tak ważnej sprawie dochodzą nas tylko głuche wieści, pobieżne wzmianki, które pozwalają tylko „przeczuwać“ całą grozę biednego położenia ludności skazanej na bezrobocie, niedostatek lub nędzę. Dzienniki posiadają obszerne, nadto obszerne sprawozdania o wielkich i małych sprawach zagranicznych, o teatrach amatorskich i popisach prowincyonalnej straży ogniowej, ale informacyj o własnym kraju brak im prawie zupełnie. Nie jestto wyłącznie wina redakcyj; dzieli ją z niemi społeczeństwo, ludzie, którzy patrząc z bliska na objawy faktyczne, umieją odzywać się publicznie tylko wtedy, gdy już czas wezwać dobroczynność publiczną do składek. A jednak dokładne zobrazowanie stanu rzeczy pozwoliłoby zawczasu obmyśleć środki pomocnicze, jeśli mają być potrzebne, a może nawet poruszyłoby i współudział rządu w złagodzeniu klęski, bez którego inicyatywa prywatna nic prawie po za filantropią zdziałać nie jest w stanie. Nawołujemy tedy ludzi obywatelskiego poczucia obowiązku do objaśnienia opinii publicznej o rzeczywistem położeniu biednych warstw ludności wiejskiej. Przypuszczamy, że jakkolwiek szanowna „inteligencya“ na prowincyi tak zapamiętale karnawałuje, że gdzieś tam (na wsi), jak pisze *Gazeta Kielecka*, aż dziewiętnaście godzin z rzędu tańczono, znajdują się przecież jednostki, którym mazur i kadryl nie wypełniają życia po brzegi, które więc mogłyby znaleść chwilkę czasu na zdanie sprawy z położenia ludu w swojej okolicy. Radzibyśmy byli, gdyby te relacye wykazały bezzasadność obaw głoszonych obecnie.

Na zakończenie szczupłej obserwacyi dzisiejszej zapiszmy fakt nowej próby w kierunku oświaty i umoralnienia ludu. Oto, co czytamy w *Gazecie Lubelskiej*: W dwóch gminach powiatu Janowskiego na odbytych w z. miesiącu zebraniach gminnych uchwalono zaprowadzić czytelnie ludowe, na których założenie i utrzymanie czerpane będą fundusze z zaoszczędzonych pieniędzy gminnych. Zakup książek i pism ludowych oraz urządzenie czytelni poruczono inicyatorom projektu, panom dr. Tadeuszowi Kowalskiemu i J. Piaseckiemu. Biblioteczka mieścić się będzie w domu urzędu gminnego. Rozdawnictwo książek poruczono sołtysom. Praktyczność tej instytucyi musi przejść przez próbę, zanim się da ocenić; dziś więc wyrokować o niej byłoby przedwczesnem.

Korespondent Płocki zamieścił był w ostatnim czasie notatkę, że istnieje przepis prawny, dozwalający wykładać naukę religii w szkołach Królestwa Polskiego po polsku. Postanowienie to niedawne, przypuścićby więc można, że było nieznanem, dajmy na to, księdzu „prefektowi“ gimnazyum płockiego; wszakże przypuścić również było wolno, że tenże ksiądz prefekt, powziąwszy taką wiadomość, skwapliwie pospieszy skorzystać z prawa. Jakże, sądzisz czytelniku, przyjął notatkę *Korespondenta* ksiądz „prefekt“? Niechaj cię pouczy list tego kapłana, wystosowany do redakcyi, który tak brzmi dosłownie:

„W numerze 102 *Koresp.* wyczytaliśmy, jakoby wyszło rozporządzenie rządowe, *nakazujące* wykład religii katolickiej w języku miejscowym, we wszystkich gimnazyach i innych szkołach niższych; tę wiadomość skwapliwie powtórzył w tych dniach *Kuryer Warszawski* z komentarzem, powołując się na powagę *Korespondenta Płockiego*; szkoda przeto, że pan redaktor nie wydrukowałeś w całości tego rozporządzenia, albo przynajmniej nie wskazałeś, jaka władza takowe otrzymała, gdyż ja będąc bezpośrednio zainteresowany tą kwestyą, podobnego *rozporządzenia*, od *mojej* władzy naukowej *najbliższej*, do obecnej chwili *nie otrzymałem*; bo gdybym odebrał, tobym bezzwłocznie w wykonanie wprowadził. Według mnie, tylko drogą legalną dochodzi się do żądanego celu, a nigdy drogą *anarchii i nieporządku*. Ksiądz Ołdakowski“.

Podkreśliliśmy w tym liście wiele wyrazów, charakteryzujących jego nastrój i duch. Dowiadujemy się tam, że dla owego księdza Ołdakowskiego postanowienie prawa, *dozwalające* wykładać przedmiot jego po polsku, nie wystarcza; on potrzebuje *nakazu*, *rozporządzenia* i to od *swojej* władzy *najbliższej*; bo gdyby inaczej korzystać chciał z prawa, jako nauczyciel i obywatel kraju, — to byłaby *anarchia i nieporządek*. Jestto godny przyczynek do zachowania się tych sędziów gminnych, którym orzeczenie senatu nie wystarcza, bo alfą i omegą jest dla nich pan prezes Zjazdu. Aludzie tego gatunku, to jedna z najgorszych przeszkód do należytego unormowania stosunków pomiędzy obywatelem a władzą. Takimi argumentami wszelako nie trafi się do ich przekonania. Trzeba przemawiać do nich językiem przystępnym dla poziomu ich pojęcia i poczucia, jak to uczynił *Korespondent Płocki* ze swoim księdzem Ołdakowskim, któremu bardzo trafnie powiada: „Postanowienie, o którem ks. Oł-

dakowski nie wie, jest Najwyższą Wolą Najjaśniejszego Pana, w dniu 13 (25) sierpnia roku 1880 wydaną, na skutek odnośnego przedstawienia generał-gubernatora warszawskiego hr. Kotzebue. Nie *nakazuje* ona wykładu religii katolickiej w języku miejscowym w zakładach naukowych średnich i niższych Królestwa Polskiego, ale poleca *nie zabraniać* nauczania w rzeczonych zakładach naukowych wiary katolickiej w języku polskim. Z tego też powodu wyczekiwanie przez ks. Ołdakowskiego *rozkazu* wykładania jego przedmiotu w języku miejscowym *może nie mieć końca*; natomiast wobec powołanej przez nas Najwyższej Woli, któż zabraniać może ks. Ołdakowskiemu wykładania religii katolickiej w języku polskim?" Zdaje się, że ks. Ołdakowski zrozumiał nareszcie sprawę po takiej lekcyi, bo jak się z następnego numeru *Koresp. Płoc.* dowiadujemy, szan. prefekt „wszedł z podaniem" do dyrektora gimnazyum w przedmiocie wykładu religii w języku polskim.

Wyrażenie, „wszedł z podaniem" każe się domyślać jednakże, iż legalny ksiądz Ołdakowski popadł nareszcie w anarchię zupełną, prosząc dyrektora gimnazyum o zatwierdzenie przepisu obowiązującego.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 10 lutego.

Dawno już niebywały ruch panował w ubiegłym tygodniu na widowni politycznej. Rozprawy nad polityką zagraniczną, spowodowane przez interpelacyę p. Prousta w francuskiej Izbie deputowanych; powrót ambasadora Anglii przy Porcie ottomańskiej, p. Göschena do Stambułu z przystankami w Berlinie i Wiedniu; niezwykłe zajścia w parlamencie angielskim; wreszcie nowy występ ks. Bismarcka w sejmie Królestwa Pruskiego — oto obszerny i pełen treści materyał, nagromadzony do dzisiejszej kroniki. Zaledwie nadmieniać trzeba, że w ramkach naszych możemy tylko podsumować fakty i uwzględnić najgłówniejsze ich tętna.

Wiadomem było od dłuższego już czasu, że polityka p. Barthelemy St. Hilaire, z pewną nieopatrzną energią ultra-pokojową rozwinięta w sprawie greckiej, nie mogła sobie zaskarbić uznania sfer bliskich Gambetty, które wzięły już rozbrat z hasłem „pokoju za wszelką cenę". Gdy nadto inicyatywa p. Barthelemy zaraz na pierwszym kroku wysunęła się z niefortunnym projektem sądu polubownego między Turcyą i Grecyą, a bezpośrednio po tem deputowany Proust, należący do chorągwi Gambetty, zapowiedział interpelacyę o polityce zagranicznej, przewidywano już upadek p. Barthelemy, tem pewniej, że *Republ. fr.* nie ustawała atakować go w ostrych artykułach. Stało się inaczej. Interpelacyja wprawdzie przyszła do skutku, ale p. Barthelemy wyszedł z niej zwycięsko, otrzymawszy od Izby wotum zaufania. Zwrot taki dał nawet powód opinii publicznej do wysnucia wniosku, że między Izbą a jej prezesem nie ma tak bezwzględnej solidarności, jak sądzono, a dzienniki niemieckie wydały okrzyk radosny na widok „klęski Gambetty". W rzeczywistości jednak tak daleko sięgających następstw nie można przyznać rozprawie nad interpelacyą Prousta. Naprzód bowiem Gambetta oświadczył wyraźnie, że się nie solidaryzuje z artykułami *Republ. fr.*, a potem p. Barthelemy utrzymanie się na stanowisku okupił kategorycznem przyznaniem się do poglądu popieranego przez stronnictwo Gambetty, t. j. że odrzuca stanowczo zasadę pokoju „za wszelką cenę", strzegąc przedewszystkiem godności i honoru Francyi. Właściwie więc p. Barthelemy nawrócił się na gambetowską wiarę, co w połączeniu z potrzebą uniknięcia nowej zmiany w gabinecie i zaniechaniem przewodniczącej roli Francyi w poskromieniu pretensyj greckich utrzymało go na stanowisku. Ostatecznie w polityce francuskiej wydobywa się w górę poczucie do wielkomocarstwowej roli, która się nie da urzeczywistnić przy zasadzie bezwzględnego pokoju, a fakt ten niewątpliwie oddziała i na stan sprawy wschodniej.

Ta ostatnia wisi jeszcze na haku greckim, a poruszyć ją ma dopiero nowe porozumienie gabinetów pod przewodnictwem, jak się zdaje, Niemiec. Najciekawszym jest to, że wszelkie doniesienia, uważane już powszechnie za stanowcze, okazały się przedwczesnemi. Z oświadczenia rządu w parlamencie angielskim przekonywamy się, że dotąd jeszcze żadne państwo nie zgodziło się na propozycyę turecką aż do zawiązania nowych rokowań w Stambule. Układy między gabinetami dyplomatycznemi zakończyć miała odbyta w tych dniach podróż p. Göschena do Berlina i Wiednia, który przed udaniem się nad Bosfor konferował z Bismarkiem i Haymerlem. Fakt ten uważają za objaw zbliżenia się Anglii do polityki niemiecko-austryackiej, a więc za symptomat pokojowy, któremu przeczy świeże powołanie pod chorągwie greckiej gwardyi narodowej zaciężnych od lat 31 do 40 i podniesienie tym sposobem armii greckiej do 114.000 żołnierza.

Dzieje parlamentu angielskiego nie pamiętają od bardzo dawnych czasów takich wypadków, jakie zaszły w ciągu zeszłotygodniowych posiedzeń Izby gmin. „Obstrukcyonizm" irlandzki tak dalece dokuczył Izbie, że po trwającem 42 godzin z rzędu posiedzeniu, prezes prawem kaduka odebrał głos jednemu z mówców irlandzkich i zamknął obrady, nazajutrz zaś po wydaleniu a właściwie wyrzuceniu za drzwi 36 deputowanych z partyi homerulerów uchwalono zmianę regulaminu, przyjmując zasadę zamykania rozpraw. Dzięki takiej energicznej operacyi, parlament mógł przystąpić do obrad nad bilem o represyjnych środkach dla pokonania ruchu w Irlandyi, którego przyjęcie przez Izbę jest niewątpliwe. Możność tę jednak okupioną została drogo, bo za cenę gwałtu, przemocy, która może w danych stosunkach i z punktu widzenia Angli była niezbędną, ale która mimo to pozostawić musi przykre wrażenie na przywykłej do swobód parlamentarnych opinii publicznej angielskiej.

Ks. Bismark uszczęśliwił więc nareszcie naród swój tak długo oczekiwanem odezwaniem się w sejmie. Mówił długo, z całej jednak tej mowy godne zaznaczenia dla nas są tylko dwa małe ustępy. W jednym z nich powiada, że już porzucił stanowczo zamiar ustąpienia ze swego stanowiska, i jeśli padnie, to tylko wśród walki, tylko na wyłomie; a drugim konstatuje położenie pokojowe Europy i zapewnia, że niema obawy wojny. Wzmianka ta wbrew zwyczajowi kanclerza, który o takich rzeczach nie lubi mówić, wynoszoną jest do wysoce potężnego znaczenia przez prasę niemiecką. Nie przeszkadza to jednakże, aby *Nordd. Allg. Ztg.* znowu trąbiła na alarm, wołając w najnowszym numerze swoim, że Gambetta postanowił, bądź co bądź, wepchnąć Francyę na *szybki* prąd wojenny.

S. S.

O PRAWDĘ.

(Nadesłane).

Szanowny Panie Redaktorze! W jednym z numerów pisma Pańskiego korespondencyja z Krakowa wymienia między innemi *broszurę* jakoby ks. *Czemerskiego*: *O zakładach naukowych KKs. Pijarów*, i sumaryczne daje o niej zdanie, że wydaną została w celu przysporzenia Ks. Słotwińskiemu uczniów do jego konwiktu. Mam zaszczyt i czuję obowiązek w interesie *prawdy* oświadczyć, że całe to doniesienie od początku do końca jest zupełnie błędnem. 1-o autorem tej *broszury* jestem ja niżej podpisany, który się nie nazywam wcale Czemerski. 2-o Tytuł mojej książki jest: *Krótki rys dziejów Zgromadzenia szkół pobożnych, czyli OO. Pijarów*. 3-o Celem wydania książki nie było wcale napędzanie uczniów do zakładu Ks. Słotwińskiego, bo zakład ten i bez tego ma dosyć uczniów i miałby ich więcej, gdyby lokal był obszerniejszy.

Napisałem to dziełko dla tego, że jestem pijarem, tak jak i Ks. Słotwiński, i chciałbym w niem choć w krótkości podać historyczną wiadomość o tem zasłużonem zgromadzeniu, którego wielkich zasług położonych około wychowania w Polsce i podźwignienia oświaty narodowej w 17 wieku nawet najzawziętsi nieprzyjaciele zaprzeczyć nie mogą.

Że dziełko jest krótkie, niewyczerpujące, powodem tego jest brak źródeł, a skoro te się odnajdą, to się ukaże obszerniejsza zakonu naszego historya. Tymczasem i ta *broszura* była na czasie, aby zapoznać z Pijarami mieszkańców Galicyi i Poznańskiego, którzy nie mając wśród siebie Pijarów od lat 100 blisko, zapomnieli o nich prawie zupełnie. Autor korespondencyi krakowskiej zapewne ani widział, ani czytał książki mojej, a odzywając się o niej z lekceważeniem i z pogardą, zdradza się jako jeden z nieprzyjaciół pijarskich.

Racz Panie Redaktorze etc.

Kraków, 27 stycznia 1881.

X. Tadeusz Chromecki.
Pijar.

Korespondentowi naszemu z Krakowa pozostawiamy odpowiedź w tym przedmiocie. (*Red*).

Od autora pracy: *Włościanie u nas i gdzieindziej* odbieramy list następujący:

Szanowny Redaktorze! Zmuszony jestem prosić Pana o miejsce w *Prawdzie* dla odpowiedzi na wystąpienie p. Wł. Smoleńskiego o mojej książce p. t. *Włościanie u nas i gdzieindziej* — zmuszony zaś jestem przez to, że ta część publiczności polskiej, która czytuje Pańskie pismo, wyrobić sobie może jak najfałszywsze pojęcie o mojej książce z krytyki pana Wł. Smoleńskiego. Ten tylko wzgląd powoduje mną, że odpowiadam na zarzuty p. Wł. Smoleńskiego, inaczej milczałbym, gdyż nic mię to nie obchodzi, jakie wyobrażenia i pojęcia ma o mej pracy osobiście pan Smoleński.

Cały szereg zarzutów pana Wł. Smoleńskiego streszcza się w zarzutach sprzeczności, w chwytaniu pomyłek korektorskich (jak np. Województwo Sochaczewskie, kiedy powinno być tylko „Sochaczewskie" na oznaczenie po prostu prowincyi) w datach i nazwach. Oczywiście wszystko to nie warte jest uwagi.

Najważniejszy i najpoważniejszy zarzut dotyczy się opola. Określenie moje opola jako gminy samoistnej nie znajduje się co prawda w żadnym dokumencie z doby piastowskiej, ale pan Wł. Smoleński powinien wiedzieć, że historya nie składa się tylko z dokumentów piśmiennych, jak to sam zresztą wybitnie zaznaczył w początkach swej karyery literackiej, robiąc szlachtę mazowiecką poddanymi proboszczów płockich.

W mojem określeniu opola opierałem się najprzód na organizacyi gmin w Jedlni i u Kurpiów, na organizacyi *obszczyny* w sąsiedniej Rusi, i nakoniec na historycznym

już, niezaprzeczonym nawet przez takie powagi, jak pan Wł. Smoleński, fakcie inhibicyi w XV wieku. Z tych trzech danych, dalej z ciężarów, jakie leżały w dobie piastowskiej na włościanach, urobiłem sobie pojęcie o opolu. Pojęcie to może być w szczegółach mylne i błędne, rzeczą krytyki uczciwej jest wykazać te błędy, ale wogóle ma swoje uzasadnione podstawy.

Tyle tylko mam do odpowiedzenia na wystąpienie pana Wł. Smoleńskiego i zaznaczam to jeszcze raz, replikę moją drukuję nie ze względu na niego samego, ale na Pańskich, Panie Redaktorze, czytelników.

Przyjm Pan wyrazy poważania i t. d.

Walery Przyborowski.

Na replikę powyższą, jako nieprzedstawiającą żadnego materyału do rozprawy naukowej, nasz sprawozdawca historyczny, p. Wł. Smoleński nie uważa za potrzebne i stosowne odpowiadać (*Red.*).

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uniwersytet. Kandydat praw warszawskiego uniwersytetu *Mikołaj Czyżew*, otrzymał w d. 30 z. m. stopień magistra prawa państwowego, po obronie publicznej przedstawionej na stopień ten rozprawy p. t. *Pierwiastki pojęcia prawa*.

— Dr. Tadeusz Gregorowicz, wychowaniec uniwersytetu dorpackiego, mianowany został prywatnym docentem uniwersytetu warszawskiego do wykładu prawa karnego i procedury kryminalnej.

— W stuletnią rocznicę urodzin ś. p. Samuela Bogumiła Lindego zatwierdzono dla studentów wydziału filologicznego i prawnego w uniwersytecie warszawskim stypendyum, powstałe z procentu od kapitału rs. 1 582.

Literatura polska. Wyszła świeżo z druku broszurka p. t. *Treściwy rys dziejów Żydów w Polsce*, napisana przez I. Z. ze źródeł urzędowych, tycząca się żydów w kraju naszym.

— Jako odbitki z Bibl. najc. utworów, nakładem S. Lewentala, ukazał się w handlu księgarskim *Wybór pism Pawła Heysego*. Zawiera on tragedyę *Sabinki*, kilka nowelli i poemat *Dziecię wieszczek*. Na przekład zbiorowy złożyli się pan K. Kaszewski i panie: M. Kaszewska, S. Smolkowa, Walerya Marrené i Marya Konopnicka.

— Tymże nakładem wyszedł drugi tom *Komedyi ludzkiej* Honoryusza Balzaka.

— Zeszyt XIV *Słownika geograficznego polskiego* opuścił prasę.

— Firma Gebetnera i Wolfa puściła w świat książkę p. t. *Z dalekiego wschodu*. Są to obrazki i szkice z podróży, odbytej przez p. Bronisława Rajchmana po Syberyi.

— W ostatnich dniach ukazała się w handlu księgarskim broszura p. Józefa Naimskiego *O pojedynku*.

Mapografia. Godfryd Ossowski ułożył *Mapę geologiczną Wołynia* według badań swych z lat 1860 — 1874. Mapa ta wydaną została w 1880 r. w Paryżu nakładem Zygmunta Działowskiego, b. prezesa wydziału archeologiczno-historycznego Tow. Naukowego w Toruniu.

Dziennikarstwo polskie. W Czerniowcach na Bukowinie poczęło wychodzić polskie pismo humorystyczne p. t. *Osa*.

— *Kłosy* w Nr. 814 pomieściły podobiznę własnoręcznego zapisu Tadeusza Kościuszki, odnalezionego w Ameryce Północnej przez Dra. med. Karola Benni. Dokument ten, napisany w języku angielskim, znajdował się w posiadaniu notaryusza miasteczka Charlotterville, w Wirginii. Dr. Benni pomieścił jednocześnie w *Kłosach* przekład polski wzmiankowanego dokumentu.

— W Przemyślu poczęło wychodzić od nowego roku pismo poświęcone sprawom społecznym i ekonomicznym p. t. *Przemyślanin*.

— Zeszyt drugi *Przeglądu Bibliograficznego* wyszedł z druku i zawiera między innemi, prace pp. F. K. Martynowskiego, Kołaczkowskiego, prof. Józefa Przyborowskiego i ks. Ignacego Polkowskiego.

— Pierwszy numer dwutygodnika *Museum*, wydawanego w Krakowie pod redakcyą Dra Tadeusza Rutowskiego, przybył do Warszawy.

Literatura niemiecka. W Berlinie ukazała się w handlu księgarskim praca historyczna W. Müllera p. t. *Politische Geschichte der Gegenwart*. Jest to treściwy przegląd dziejów za rok 1879. Książka ta stanowi jeden tom kroniki wydarzeń politycznych, wydawanej rocznikami od lat kilku.

— J. Loserth wydał w Wiedniu dzieło p. t. *Beiträge zur Geschichte der hussitischen Bewegung*.

— W Münsterze wyszła historya anabaptystów, czyli nowochrzczeńców, napisana przez archiwistę miejscowego p. t. *Geschichte der Wiederläufer und ihres Reiches zu Münster*.

— W Sztuttgarcie ukazało się dzieło Soldana, opracowane przez H. Heppego p. t. *Geschichte der Hexenprocesse*.

— W Wiedniu wyszedł nowy rocznik *Dioskurów*. Zawiera on 133 artykuły, w tej liczbie 110 wierszem i 23 prozą, dostarczone przez 79 autorów. Publikacya ta zbiorowa pomieściła przekład *Nocy letniej* Zygmunta Krasińskiego, dokonany przez Dr. Blumenstocka.

— Firma Hartlebena wydała dzieło Ferdynanda Siegmunda p. t. *Aus der Werkstätte des menschlichen und thierischen Organismus*. Jest to fizyologia, przeznaczona dla światlejszych czytelników.

— W Wiedniu wyszedł opis podróży na około świata p. Józefa Doblhoffa, członka wiedeńskiej Rady Państwa, p. n. *Von Pyramiden bis Niagara*.

Literatura czeska. W miesięczniku *Kwiety* pomieszczono *Przyjaciół Hioba* Asnyka, w przekładzie Ernesta Szwaba Polabshego.

— Miesięcznik praski *Osvieta* zamieszcza w pierwszych zeszytach r. b. początek pracy p. J. Perwolfa, profesora uniwersytetu warszawskiego, p. t. *Polacy a Rusini*. Jest to wyjątek z obszernego dzieła *Slovane i ich vzajemne pomiery i styky*. (Słowianie, ich wzajemne stosunki i styczności).

Literatura serbska. W Belgradzie zaczęło wychodzić kilka nowych czasopism, między innemi *Ratnik* (pismo poświęcone sprawom wojskowym) i *Prosvetni glasnik* (Goniec naukowy). W Nowym Sadzie zaś, u serbów austryackich, pismo dla dzieci p. t. *Newen* (Nieśmiertelnik).

Dziennikarstwo rosyjskie. Od nowego roku s'. stylu zaczął wychodzić w Petersburgu nowy dziennik *Poriadok*. W kilku pierwszych numerach pismo to wykazało jawnie postępowe swe dążności.

— Gazeta kijowska, *Zaria* pomieściła przekład nowelli Sienkiewicza *Stary sługa*. Przekład powiastki tegoż autora *Janko muzykant* pomieściły *Nowosti*.

Dziennikarstwo niemieckie. Nowy tygodnik sztuttgarcki *Ausland* zamieszcza w 3 numerze ocenę dzieła prof. Wł. Łuszczkiewicza i M. Sokołowskiego p. t. *Ruiny na Ostrowie jeziora Lednicy*.

— *Revue Nouvelle* rozpoczyna druk nieznanych zupełnie nowych listów Prospera Merimée do jego przyjaciela p. Panizzi. Listy te rzucają światło na zamiary i zakulisowe działania Napoleona III, jak również na wypadki poprzedzające wojnę włoską r. 1858.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie przybyły w ostatnich czasach następujące dzieła: C. Lachnickiego *Wspomnienie z Biarritz*, Maleckiego Władysława *Ranek jesienny na Saskiej Kępie* i *Powrót z miasta przy zachodzie słońca*, Wastkowskiego Franciszka *Wieczór zimowy*, Bierkowskiej Karoliny *Z Krzeszowic*, Lilpop Maryi *Portret*, Miniewskiej Izabelli *Kwiaty*. Trzy projekty konkursowe na budowę ratusza uczniów Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, Szyllera Stefana, Dąbrowskiego i Jabłońskiego.

— Na wystawie wiedeńskiego Kunstvereinu budzi wielkie zajęcie obraz Michała Zichyego: *Godzina duchów na cmentarzu*.

— Obraz Siemiradzkiego *Świeczniki Chrześciaństwa* znajdują się obecnie w Sztuttgarcie.

— Rygier pracuje obecnie nad olbrzymią grupą, przedstawiającą *Geniusza narodowego błogosławiącego kraj*. Grupa ta przyozdobi gmach sejmowy we Lwowie.

Teatr. W ubiegłą niedzielę odbyło się w Teatrze Wielkim przedstawienie benefisowe na korzyść artystów teatrów warszawskich. Fundusz zebrany posłuży na utworzenie kasy zaliczkowej dla tychże artystów. Na delegowanych do obrad wyznaczeni: pp. Królikowski (dramat), Kozieradzki (opera), Popiel (balet) Rittendorf (jako przedstawiciel maszynistów teatralnych).

— W dniu 6 b. m. odśpiewano po raz pierwszy na scenie warszawskiej operę Thomasa *Sen nocy letniej*.

— Goszcząca w Lublinie trupa prowincyonalnych aktorów wystawiła dramat przerobiony z romansu Emila Zoli p. t. *L'assomoir* (*Pod maczugą*).

— Najnowsza Komedya Aleksandra Dumasa p. t. *Księżna Bagdadu* została wysykaną w Paryżu z powodu niemoralnej (?) swej treści.

Nekrologia. Hipolit Augier, komedyopisarz i romansopisarz francuski, umarł w d. 3. b. m. w wieku lat 84. Dla sceny pisał pod pseudonimem Géran.

— Aleksy Pisiemskij, powieściopisarz rosyjski zmarł b. m. w Moskwie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Emilowi W. Publicznie objaśnić Pana nie możemy.

P. Skr. w Petersburgu. Oba zaprenumerowane przez Pana numera najregularniej od nas wychodzą, giną więc na poczcie. I dla tego list Pański komunikujemy zarządowi pocztowemu.

Pierwsze numera dla pani *K.* wysyłamy ponownie.

P. T. Krecm. w Warszawie. List Pański łącznie z naszą reklamacyą przesłaliśmy administracyi kiosków.

P. W. Głęb. w Berezowce, p. Dziew. w Mohilewie, p. Kis. w Halli, p. Molk. w Równem, p. Wolsk. w Antopolu, p. Auszpitzowi w Pabianicach—skradzione numera wysyłamy ponownie, listy zaś komunikujemy zarządowi poczt.

P. Gustawowi Chojnowskiemu w Szczuczynie. Pismo wysyłamy najregularniej, nieodebrane numera zostały widocznie skradzione. Wyślemy je powtórnie i zareklamujemy na poczcie.

P. Druskiemu w Kijowie. Żądany arkusz wyślemy przy zeszycie trzecim.

Do dzisiejszego N-ru PRAWDY dołączamy Nr. 2 tym, którzy go dotąd nie odebrali. Nr. 3 wyczerpany.

Zeszyt III HISTORYI FILOZOFII Langego prenumeratorzy odbiorą w tygodniu bieżącym.

Sprostowanie. W numerze dzisiejszym przez omyłkę zecera wydrukowano na str. 82 w szpalcie 2-ej w wierszu 9 od góry, Gragono *a winno być* Grano go.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Января 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.